Benedykt Kubski, Mieczysław Kotarbiński,
Ewa Zarembina

CZYTANKA

I

K. S. Jakubowski we Lwowie





BENEDYKT KUBSKI, MIECZYSŁAW KOTARBIŃSKI,
EWA ZAREMBINA

CZYTANKA

DLA SZKÓŁ POWSZECHNYCH

CZĘŚĆ PIERWSZA
DLA KLASY DRUGIEJ

ILUSTROWAŁ
STANISŁAW BOBIŃSKI

WYDANIE DRUGIE



Cena: 1 złoty 10 groszy
(wraz ze znaczkiem na budowę publicznych szkół powszechnych)

LWÓW 1933
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ K. S. JAKUBOWSK



…TO W DRUKARNI STANISŁAWA CHOWAŃCA W STANISŁAWOWIE

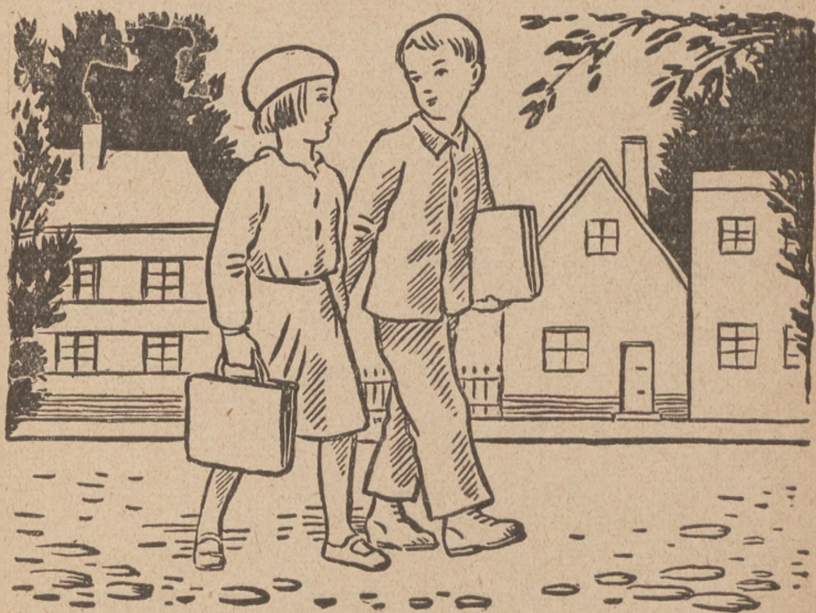
W DOMU I W SZKOLE.

Zegar i dzieci.

Zegar: Bum! bum! bum!
Dzieci: Co to? Siódma na zegarze.
Mama: Wstawać, dzieci. Mama każe.
No, a które się tam maże?
Janek? Basia?
Dzieci: Nie, Marynka.
Mama: Co? Taka duża dziewczynka
nie potrafi grzecznie wstać
i chciałaby jeszcze spać?
Czy to prawda?
Marynka: Nie, nie, nie!
Nie myśl, mamo, o mnie źle.
Zegar: Myju, myju rączki, szyję.
Wnet Marynka się umyje.
Z Jankiem, z Basią zje śniadanie
i do szkoły marsz, kochanie,
bo już zegar bim, bam, bum,
zwołał dzieci cały tłum.

Niech się pilnie uczą w szkole.
Potem czas i na swawole
zegar także im odmierzy,
jak należy:
Bim! bam! bum!

Do szkoły.



Nasza książka.

Dziś dzieci zapoznały się z książką do czytania. Najpierw oglądały okładkę. U samej góry wydrukowane są trzy nazwi-

ska: jednej pani i dwóch panów. Pani nazywa się Ewa Zarembina. Jeden z panów nazywa się Benedykt Kubski, a drugi Mieczysław Kotarbiński. Naszą książkę pisali wszyscy troje. To są autorzy naszej książki. Nazwiska autorów drukowane są u góry okładki. Pod niemi jest tytuł książki: „Czytanka“. A u samego dołu jest nazwa księgarni, która książkę wydała.

Pani opowiedziała dzieciom historję naszej książki. Ilu to ludzi pracowało nad tą książką. I drukarze i introligatorzy. Przedtem jeszcze w fabryce zrobili papier na tę książkę.

A obrazki rysował pan Stanisław Bobiński. Dzieci z ciekawością oglądały te obrazki. Na samym końcu znalazły „Spis rzeczy“.

— Poco jest ten „Spis rzeczy“? — zapytała Pani.

Dzieci dobrze przyjrzały się temu spisowi i zgadły, poco on jest w książce.

Dzieci postanowiły zrobić zakładki do tej książki. A co trzeba robić, by książka do końca roku była ładna?

Dyżury dzieci.

Dyżury bardzo podobały się dzieciom jeszcze wtedy, kiedy były w pierwszej klasie. Dzieci pamiętały nawet, jacy to byli dyżurni.

Jeden pamiętał o kwiatkach: podlewał je, obcinał zeschłe listki. Inny przypominał dzieciom o temperowaniu ołówków przed lekcjami. Jeszcze inny miał oddaną pod opiekę tablicę szkolną. Musiał czuwać nad tem, by tablica zawsze była czysta.

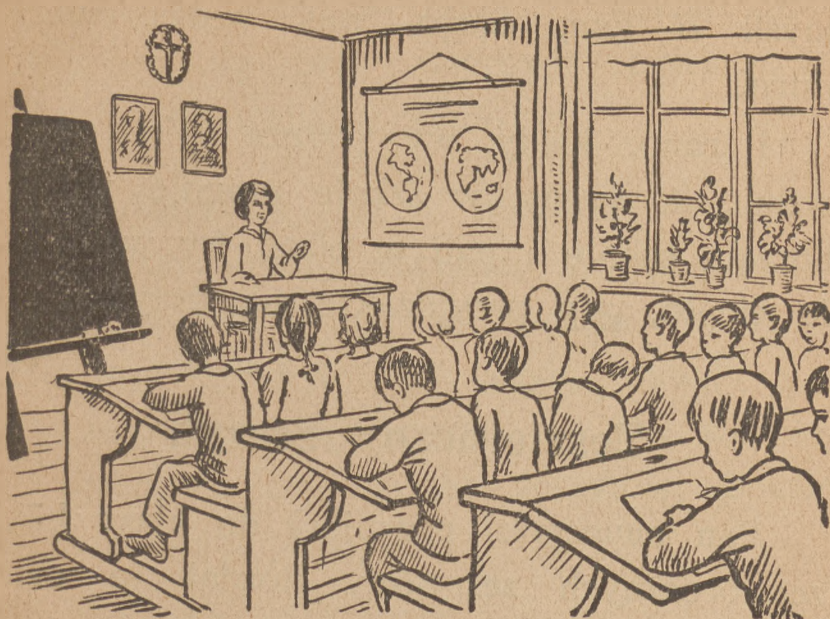
Był też i dyżurny w szatni. Przypominał dzieciom o tem, by wieszały palta i czapki na swoich miejscach.

Pani również pamiętała o dyżurnych. I zaraz pierwszego dnia wyznaczyła dyżury na cały tydzień.

— W tym roku — mówiła Pani — przybędzie jeszcze dwóch dyżurnych. Jeden będzie sprawdzał, ile dzieci każdego dnia nie przyszło do szkoły. Drugi będzie sprawdzał czystość nóg, rąk, szyi i uszu.

— Kogo też Pani wyznaczy na tych dyżurnych? — myślały dzieci.

W klasie.



Zagadka.

Albo stoję, albo wiszę.
Dziatwa kredą na mnie pisze.

Światło w szkole.

Janek mieszka naprzeciwko szkoły. Ile razy kładzie się spać, widzi w szkole światło.

— Dlaczego tam się świeci? — pyta ojca.

— Mój synu, — odpowiada ojciec — gdy my po pracy udajemy się na spoczynek, w szkole jeszcze pracują. Nauczyciel

poprawia wasze ćwiczenia, czyta książki, myśli o tem, czego was będzie uczyć jutro.

I rano, kiedy wy jeszcze śpicie, a ja wstaję do pracy, w szkole pracuje woźny. Sprząta szkołę i pali w piecu, by wam było ciepło, gdy przyjdziecie się uczyć.

Zeszłoroczny zeszyt.

Pan nauczyciel przyniósł do klasy kilka zeszłorocznych zeszytów. Rozdał je dzieciom do przeglądania. W jednym z tych zeszytów Stach czytał:

1 kwietnia. Dziś już prawdziwa wiosna. Do szkoły poszedłem bez palta. Mama przyniosła z targu malutki pęczek białych kwiatków.

5 kwietnia. Zrobiliśmy dziś wycieczkę na łąkę. Widzieliśmy bociana, jak szukał sobie pożywienia. Te białe kwiatki, które mama kupiła na targu, to stokrocie. Dużo kwitnie na łące tych stokroci. A nad rowami kwitły kaczeńce. Kaczeńce są żółte.

7 kwietnia. Padał śnieg i odrazu topniał. Powietrze się oziębiło.

14 kwietnia. Bez się rozwija. Dziewczynki grają ze sobą „w zielone“. Starsze dzieci pracowały przy naprawie boiska. Ja i Edek pomagaliśmy starszym.

Zeszłoroczne zeszyty podobały się dzieciom. Postanowiły wszystkie przyglądać się temu, co się dzieje w mieście, w ogrodzie, na łące i w polu. Będą mówiły nauczycielowi każdego ranka, co kto widział. A potem zapiszą to do zeszytów. Będzie to dzienniczek klasy.

W szkolnej bibljoteczce.

Równo ułożone
na czystej półeczce,
kolorowe książki
stoją w bibljoteczce.
Wezmę najciekawszą,
usiądę przy stole,
bo zamiast próżnować
czytać sobie wolę.
Czego się z książeczki
ciekawego dowiem,
to rodzicom w domu
zaraz dziś opowiem.

Tramwajem do szkoły.

Edek i Madzia mieszkają w dużem mieście. Do szkoły jeżdżą tramwajem.

Rano w tramwaju bywa duży ścisk. Urzędnicy, robotnicy, nauczyciele i różni inni pracownicy śpieszą do swoich zajęć. Dużo też uczniów jedzie do swoich szkół, które są przy różnych ulicach. Edek i Madzia lubią siedzieć w tramwaju na ławeczce przy oknie. Ale jeśli stoi jakiś staruszek albo kobieta z małem dzieckiem, to Edek i Madzia ustępują im swego miejsca.

Tramwaj szybko pędzi po szynach. Motorniczy zatrzymuje go na każdym przystanku. Choć przystanków jest dużo, jazda do szkoły, nawet z końca miasta, trwa niedługo. I choć pada deszcz albo śnieg, w tramwaju nikt nie moknie.

Przyjemnie jest i wygodnie jeździć tramwajem.

Wyścig latawców.

Na szkolnem boisku pełno ścisku. Trzecia godzina — wyścig latawców się rozpoczyna.

Ogoniaste, strzępiaste, duże, małe, czerwone, zielone, białe... Stado ich całe na dany znak podrywa się do lotu. Już każdy mknie, jak ptak.

Ten tam, w górze, biały na żółtym sznurze najwyżej i najchyżej leci.

— Zwycięzca! — krzyczą wszystkie dzieci.

— To z naszej klasy! To naszego Tadka! — woła szczęśliwa gromadka kolegów i koleżaneczek. — Brawo, Tadeczek!

Z naszej gazetki.

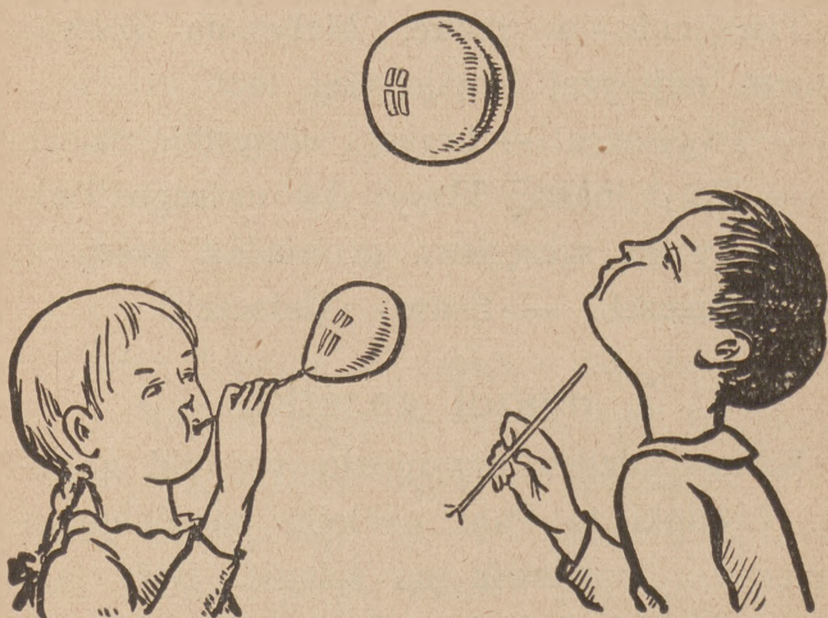
Kilkoro dzieci przyniosło wycinki z gazet. Wycinki te Pani nakleiła na zielonym papierze i powiesiła na ścianie. Były tam różne obrazki. Dzieci nazwały to naszą gazetką. Będą teraz stale przynosiły takie wycinki.

— Coby tu jeszcze można dawać do naszej gazetki, oprócz wycinków? — myślały.

W świetlicy.

Grały dzieci w loteryjkę,
aż im wreszcie zbrzydła.
Teraz będą sobie robić
śliczne bańki z mydła.

Na wesołej tej zabawie
czas szybko przeleci.
Jakże miło w tej świetlicy,
gdzie się schodzą dzieci.



Opowiadanie ławki.

Było to bardzo dawno. Byłam wtedy nasionkiem i mieszkałam w szyszce na sośnie. Jednego razu porwał mnie wiatr i upadłam na ziemię. Ziemia w tem miejscu była czarna i wilgotna. Po jakimś czasie puściłam kiełek i zaczęłam rosnąć. Koło mnie rosły siostry moje, sosny. Były

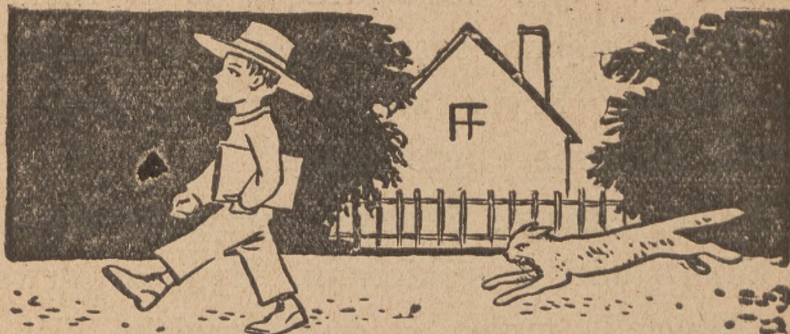
one starsze ode mnie, a było ich dużo. Rosłam w tym lesie długo, aż wyrosłam na dużą, piękną sosnę. Latem odwiedzały nas dzieci. Kryły się w cieniu naszych gałęzi. Smutniej było zimą.

Razu jednego, jesienią, przyszło do lasu kilku ludzi z siekierami. Byli to drwale. Wycięli mnie i dużo moich sióstr. Poobcinali nam gałęzie, zostały z nas tylko same pnie. Zajechały wozy. Ludzie włożyli nas na nie i zawieźli do tartaku. Tu piłami porżnęli nas na deski i ułożyli w stos. Schłyśmy przez kilka tygodni.

Do tartaku przyjechał stolarz. Kupił nas. Naładował na wóz i zawiózł do swego warsztatu. Tam zaczął mnie znów piłować, heblować, kleić z memi siostrami, malować. I ani się spostrzegłam, jak stałam się ławką.

Przeniesiono mnie do szkoły. Dziś stoję już w klasie. Dzieci opiekują się mną. Nie brudzą mnie, nie piszą po mnie, nie drapią mnie stalówkami ani scyzorykiem. Chcą, bym była zawsze czysta i ładna. Dobrze mi tu w klasie.

Historyjka w obrazkach.









Obiad.

Dzieci rodziców bezrobotnych otrzymały dziś w szkole obiad. Obiad ten przysłało nam wojsko.

Tato mówił, że nasze wojsko pamięta o ludziach biednych. Opowiadał, jak to kilka lat temu w czasie powodzi żołnierze rzucali się do wody i ratowali ludzi i ich dobytek.

Dzieci czwartej klasy zrobiły nam z białych gałganków serwetki. W czasie jedzenia dzieci siadają w ławkach i rozkładają swoje serwetki, by nie niszczyć ławek.

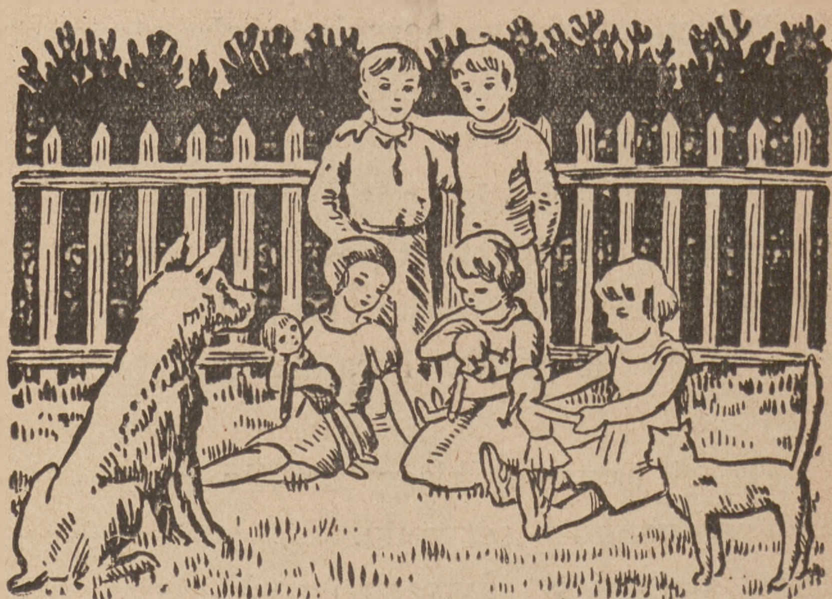
Pomocnica.

Ta mała Małgosia to cała gosposia. Już umie jak mama chodzić na targ sama. Kupiła tam kwiaty na bukiet dla taty, owoce, jarzyny, sok do leguminy.

Wszystkie te zakupy tak dobrze zrobiła, że ją mama w domu przed ojcem chwaliła. A ojciec się na to uśmiechnął radośnie:

— Dobra pomocnica w domu nam tu rośnie!

My.



Dwóch dużych braciszków,
małe siostry trzy,
kotek, pies i lalki
to jesteśmy my.

Nasza mamusia.

Mamusia wszystko umie doskonale.
Ugotowała nam obiad.
Skleiła stłuczoną lalę.
Na starej sukieneczce
przyszyła nowe łatki.
I ze zwyczajnej bibułki
zrobiła róże i bratki.

Wieczorem opowie bajkę
o kocie, co palił fajkę
i sparzył sobie łapeczkę.
Ach, jak to dobrze mieć taką
mądrą i dobrą mateczkę!

*
*   *

Moja siostra Basia
chce być jak mamusia.
Ja chcę być podobnym
do mego.......

Święto Matki.

Jutro jest „święto Matki“. Zastanawialiśmy się w szkole, jaką niespodziankę zrobić swoim matkom. Postanowiliśmy robić jutro wszystko za swoje mamy, aby miały naprawdę święto.

Dziś, chociaż niedziela, wstałem ze Stachą, swoją siostrą, bardzo rano. Wszyscy jeszcze spali. Najpierw cichutko pozamiatališmy i posprzątali. Potem nakryliśmy do śniadania. Ja przyniosłem ze sklepiku chleb, masło i mleko. Stacha napaliła pod blachą i nastawiła wodę na kawę.

Kiedy mama przebudziła się, śniadanie było już prawie ugotowane. Zerwała się mama szybko, patrzy, a tu taka niespodzianka!

Cały dzień nie daliśmy się mamie dotknąć niczego. Wszystko robiliśmy sami. Mama była bardzo zadowolona i tylko mówiła do ojca:

— Co te dzieciaki wyprawiają, ani tknąć mi nie dadzą żadnej roboty.

Dobre, czy niedobre?

Ania zaziębiła się. Anię boli gardło i oczy bolą i głowa boli. Ania leży w łóżku. Gorzej jeszcze! Ania musi zażywać lekarstwo.

To lekarstwo jest niedobre. Brr..., gorzkie. Brr..., kwaśne! Brr..., słone!

Ale to lekarstwo jest dobre, bo pomoże. Łyknie Ania jedną łyżkę lekarstwa — przestanie Anię boleć gardło. Łyknie Ania drugą, trzecią, czwartą łyżkę — przestaną boleć oczy i głowa.

Wypije Ania całą buteleczkę i wstanie zdrowa z łóżka.

Wesoła trójka.

Mydełko: Jestem mydło. Tem się chlubię, że ogromnie czystość lubię. Myję dzieciom rączki, uszki i rano i do poduszki. Mydlu — mydlu nosek, mydlu — mydlu szyję. Patrzcie tylko, dzieci, jak się brudek myje. Mydlu — mydlu rączki, mydlu — mydlu nóżki! Teraz już jesteście milutkie czyścioszki.

Grzebyk: Jak się masz, mydło? Ciągle walczyć z brudem jeszcze ci nie zbrzydło?

Mydełko: A! Grzebyk! Muszę powiedzieć waszeci, że bardzo mi w tej walce pomagają dzieci.

Grzebyk: Tak? Hm! Być może. Ale ja, mój Boże, ciężką mam dolę. Gdy zbliżam się do główek dzieci, zaraz krzyk leci: — Nie czesać się wolę!

Mydełko: O, to się na pewno zmieni jeszcze tej jesieni. Mówił mi tu jeden chłopczyk mały, że już od jutra wszystkie dzieci będą się chętnie czesały, bo chcą mieć ładne główki.

Miotełka: Przepraszam, co to za rozmówki?

Mydełko: A, miotełka, miotełeczka!

Grzebyk: Panienka niczem laleczka.

Miotełka: Jestem z prawdziwej ryżowej słomy. Znają mnie czystość lubiące domy. Mieszkam sobie skromnie w kątku, lecz nie znoszę nieporządku. Gdy tylko palto ze spaceru wraca, już dla mnie praca: czyszczę żwawo w lewo, w prawo! To samo robię z sukienkami. A gdy się która poplami, wołam do pomocy szczotkę, moją ciotkę.

Mydełko, grzebyk i miotełka: Pamiętajcie o nas, dzieci, choć mieszkamy w kątku, bo jesteśmy wam niezbędni w domu dla porządku. Ja mydełko, ja grzebyczek, ja miotełka zwinna! Cała trójka wciąż pod ręką zawsze być powinna.

Kącik czystości.

Jadwisia, Terenia i Pawełek krzątają się aż miło. Wiecie, czem są zajęci? Urządzają „kącik czystości".

Na niskim, szerokim stołku ustawili dużą miednicę. Drugą miednicę, jeszcze większą, wstawili pod stołek. W tej jednej bę-

dą myć buzie i ręce. W tej drugiej będą szorować nogi.

Na stołku koło miednicy położyli mydło na podstawce i szczotkę do paznokci. Nad stołkiem zawiesili na kołeczkach czyste ręczniki. Przybili też gwoździkami niedużą półeczkę. Na tej półeczce ustawili swoje kubeczki i szczoteczki do mycia zębów.

Jeszcze tylko postawią dzbanek z czystą wodą, a także wiaderko do zlewania brudnej wody.

I... kącik czystości gotowy.

Co to jest?

Gładkie, śliskie.
Mydli się i pachnie.
Lubi służyć Jasiowi,
lubi służyć Kachnie.
Bez niego byłyby brudne
i ręce i twarze.
Pamiętajcie, szkolarze.

Z naszej gazetki.

Dziś w naszej gazetce były tylko obrazki, które zrobiły same dzieci. Rysowały, jak kto spędza wieczór w domu.

Na jednym obrazku było narysowane, jak cała rodzina słucha, a ojciec czyta książkę. Nie było tylko napisane, jaką czyta książkę. Może o Janku Wędrowniczku?

Na drugim obrazku było narysowane, jak ojciec przychodzi od pracy. Jedno z dzieci szykuje mu wodę do mycia, a mama nakrywa do stołu.

Jeszcze jeden obrazek przedstawiał, jak brat i siostra odrabiają lekcje. Inny, jak się myją, nim pójdą spać.

Pani mówiła o tem, że trzeba koniecznie na noc myć nietylko twarz i szyję, ale i nogi i zęby.

Czy dlatego?

Mam kromeczkę chleba, z wróblem się podzielę. Tobie, ptaszku, też jeść trzeba, jedz okruszki śmiele.

Mam kubeczek mleka, naleję kotkowi. Bo ten kotek jest kulawy, nic dziś nie ułowi.

Pali się ogienek ciepły na kominie. Chodź, piesku, do domu, póki mróz nie zginie.

Jakoś mi wesoło, jakoś mi tak miło! Czy może dlatego, że się coś dobrego dla innych zrobiło?

Jula szyje.

Wieczorem jest bardzo przyjemnie.

Tatuś przychodzi z zajęcia. Mama już nie krząta się po kuchni. Henryś odrobił lekcje i dopomógł Juli. Teraz każdy ma czas i każdy robi to, na co ma ochotę.

Henryś buduje samolot. Tatuś czyta gazetę. Mamusia szyje.

— Mamusiu, i ja chcę także szyć — prosi Jula. — Naucz mnie szycia, mamusiu!

— Dobrze — mówi mamusia. — Masz tu niebieski gałganek. Masz szpulkę z nićmi, naparstek i igiełkę ze złotem uszkiem. A co chcesz uszyć?

— Fartuszek dla lalki.

— Dobrze. Szyj fartuszek.

I pokazuje mamusia Julinym paluszkom, jak mają trzymać materjał i gdzie wsadzać igiełkę z nitką.

Oho! Nie tak to łatwo. Igiełka sobie, gałganek sobie! A najgorsze te palce: je-

den ścieg zrobiły w prawo, drugi ścieg zrobiły w lewo. Jeden ścieg zrobiły maluśki, a drugi wielki, jakby leciał wilk przez pole.

— Oj! oj! — krzyknęła Jula, bo nagle ukłuła się igiełką w palec.

Krzyknęła więcej ze strachu, niż z bólu. I chciała trochę popłakać. Ale mamusia powiedziała:

— To nic. Zgoi się prędzej, nim ten fartuszek uszyjesz.

I tak było. Już na trzeci dzień lalka Juli siedziała ustrojona na niebiesko. Ten nowy niebieski fartuszek był troszeczkę krzywo obrębiony, ale i tak podobał się lalce.

A tatuś to nawet powiedział:

— Ho, ho! Z mojej córeczki prawdziwa krawcowa. Może kiedy i mnie co uszyjesz?

Jula aż się zaczerwieniła z radości.

Teraz Jula w wielkiej tajemnicy obrębia chusteczkę dla tatusia.

Tylko musi Jula bardzo uważać, żeby było równo. Bo lalka, to lalka, a tatuś, to tatuś!

Ojciec i dzieci.

Była niedziela. Krysia i Jurek zaprosili gości. Przyszedł Stach z Heńkiem i Zosia przyszła. Zaczęli radzić, w co się bawić?

— Może „w chowanego“? — mówi Stach.

— To już lepiej „w farby“ — powiada Krysia.

Ale na żadną z tych zabaw nie mają dzieci wielkiej chęci.

Aż tu wchodzi ojciec. Uśmiecha się i powiada:

— Może wolicie iść na wycieczkę? Mam czas, to zaprowadzę was na lotnisko. Chcecie?

— Chcemy! Chcemy!

Rebus.



ma 4



W JESIENI.

Praca w sadzie.



W ten jesienny dzionek złoty
dużo w sadzie jest roboty.
Teraz słonko krótko świeci,
więc się śpieszcie, żwawo, dzieci.
Bo gdy wczesny mrok zapadnie,
pracę przerwać nam wypadnie.

Miłe odwiedziny.

Jaś: A ja wiem, nie powiem, kto nas dziś odwiedzi! Czerwone jabłuszko, co na drzewie siedzi. Czerwone jabłuszko, złocista gruszeczka, makówka bogaczka i słodka śliweczka!

Kasia: Nie wierzę, Jasieńku, żeby się to stało.

Jaś: Nie wierzysz? Posłuchaj, już coś zapukało.

Wchodzą: jabłuszko, śliwka, gruszka i makówka.

Jabłko: Jestem sobie jabłuszko rumiane, słonkiem malowane. Mieszkam w cichym sadzie na wielkiej jabłoni. Stary pan ogrodnik strzeże mnie i broni. Ale, gdy dojrzeję i już słodkie jestem, spadam nadół z drzewa, toczę się z szelestem. Toczę się po trawie aż do rączek dzieci, a dzieci się cieszą, że tu jabłko leci. Jabłuszko rumiane, ze wszystkich owoców najbardziej kochane.

Gruszka: A ja jestem gruszka, także smaczna bardzo. Proszę niechaj dzieci i mną

nie pogardzą. Na słonku dojrzałam, jestem słodka cała, chcę, żeby mnie Kasia pierwsza spróbowała.

Śliwka: A ja jestem śliwka. Ciemne liczko mam. Kto mnie zerwie z drzewa, temu zjeść się dam. Zerwij mnie, Jasieńku, zerwijże mnie sam.

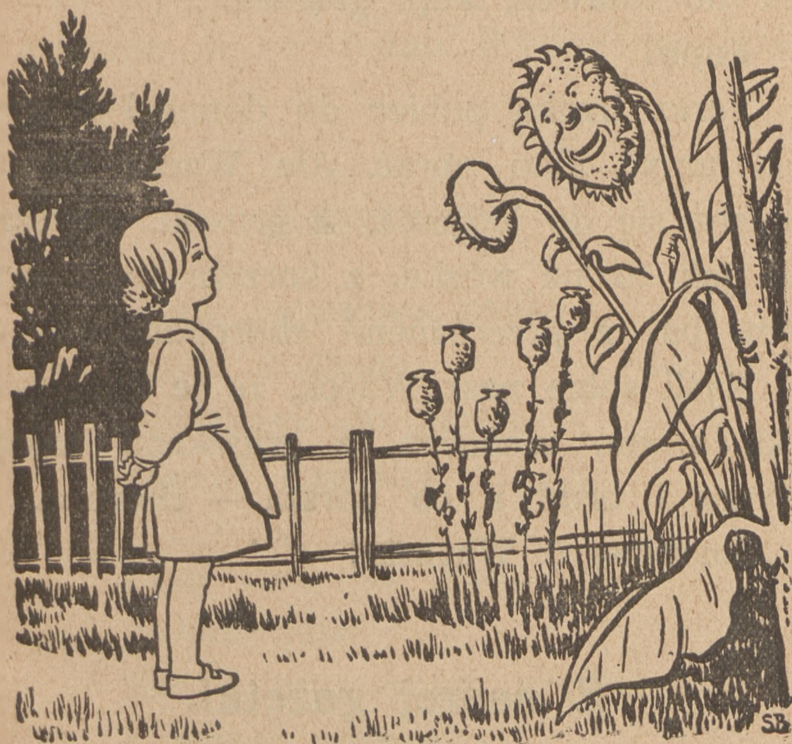
Makówka: Ja jestem makówka. Trzęsie mi się główka. Chcę dać komu mak, muszę zrobić tak: Syp, syp! makiem z makóweczki, macie tutaj mak, dziateczki, macie, macie mak. Czego jeszcze brak?

Jaś i Kasia: Co za czary, co za dziwy! Przyszły do nas jabłka, śliwy. Przyszła gruszka i makówka. Więc bal będzie, ani słówka. Hej, na trawie wraz, zatańczmy has! has!

Słonecznik.

Dobry panie słoneczniku,
co ziarenek masz bezliku,
bardzo ciebie o to proszę,
sprzedaj mi ich za trzy grosze.
Za trzy grosze, za dwa złote,
bo na ziarnka mam ochotę.

Jak nie zechcesz, to nie trzeba.
Da mi mama z miodem chleba.



Sprawunek Wacka.

Wacek szedł po jednej stronie ulicy, a po drugiej stronie przekupień toczył wózek z owocami.

Było gorąco. Wackowi chciało się pić. Przekupień wołał:

— Do gruszek! Do gruszek! Soczyste, smaczne, świeże!

Wacek przypomniał sobie, że ma 20 groszy w kieszeni. Miał sobie kupić sznurek do latawca, kupi gruszek.

Kupił.

Teraz trzeba pobiec do domu i te gruszki umyć albo obrać. Ale Wacek odrazu zabiera się do jedzenia. A gruszki, zwyczajnie, jak to na wózku, z kurzem są, z brudem, ba! z przeróżnemi chorobami.

Myśli sobie nasz Wacek, że je same gruszki, a on, nieborak, z gruszkami zajada i kurz i brud i, co gorsza — chorobę.

Smacznego, Wacusiu!

Z naszej gazetki.

Dziś w gazetce nie było wycinków z gazet. Tylko rysunek Wacka. Wacek był chory na tyfus i odwieźli go do szpitala. Gdy wyzdrowiał, wyrysował i opisał, jak wygląda szpital.

Każdy chory ma swoje łóżko. Jest wszędzie czyściutko. Doktorzy chodzą w białych fartuchach. I pielęgniarki, które doglądają chorych, chodzą w białych fartuchach.

Chorych odwiedza doktór codziennie. A pielęgniarka pamięta, by im dawać lekarstwa. I dlatego lepiej jest choremu w szpitalu, niż w domu. Prędzej przyjdzie do zdrowia.

Kasztany.

Włóż bronzowe paltko,
synku kochany.
Pójdziemy do parku
zbierać kasztany.

Leżą tam, jak małe,
zielone jeże.
Kto z nas, synku, prędzej
i więcej zbierze?

Czyje będą ciemne,
a czyje w łatki,
czy twoje, syneczku,
czy twojej matki?

I co z nich zrobimy:
krówki czy konie?
I kto przy tem bardziej
poplami dłonie?

Kto je potem czyściej
w domu umyje?
Kto się komu pierwszy
rzuci na szyję?

Jesień w miejskim parku.

Opustoszał, ucichł park wesoły. W parku niema już dzieci. Dzieci są teraz w szkole.

W alejach parku stoją puste ławki. Orkiestra nie gra w altanie. Budka z sodową wodą zamknięta na wielką kłódkę. I biało ubrany lodziarz nie stoi z lodami przed bramą.

Na stawie w parku nie widać ani jednej łódki. Po ciemnej wodzie pływają tylko liście rdzawe i czerwone. Na brzegu stawu, na żółknącej trawie śliczne łabędzie stroszą białe pióra. Łabędzie są smutne. Czują, że to już jesień.

Idzie chłód. Zbliża się zima.

*
* *

Kiedy klon wcześnie opada, srogą zimę zapowiada.

Zbieramy liście.

Lecą liście z drzewa czerwone i złote. Wietrzyk je rozwiewa. My mamy ochotę zebrać te listeczki i schować do teczki.

Poleżą do zimy pomiędzy kartkami. W zimie coś zrobimy z temi listeczkami. A co? Kto z was zgadnie, może razem z nami robić owe cuda. Na pewno robota z tych listków się uda.

Z dziennika klasy.

9 września. Widziałem bardzo dużo jaskółek na kościele i na drutach telegraficznych. Pewnie zbierają się do odlotu do ciepłych krajów.

10 września. Byłem w sadzie pod miastem. Owoców na drzewach już jest mało. Liście na niektórych drzewach już żółkną. Na innych czerwienieją i bronzowieją. Ciekawy jestem, jakie drzewa utracą liście najwcześniej, a jakie najpóźniej?

Dziś układaliśmy zdania, w których musiały być następujące wyrazy: liść, śliwa, czereśnia, ślimak, ćma.

12 września. Byliśmy na wycieczce. Widziałem rolnika, siejącego żyto. Na polach

już pusto. Pozostały jeszcze tylko kartofle, buraki i kapusta.

Z naszej gazetki.

Któreś z dzieci zrobiło miłą niespodziankę. W gazetce umieściło kalendarz. Był własnej roboty, nie ze sklepu. U góry kartki była nazwa miesiąca: wrzesień. Pod nią data: 26, a następnie dzień: wtorek.

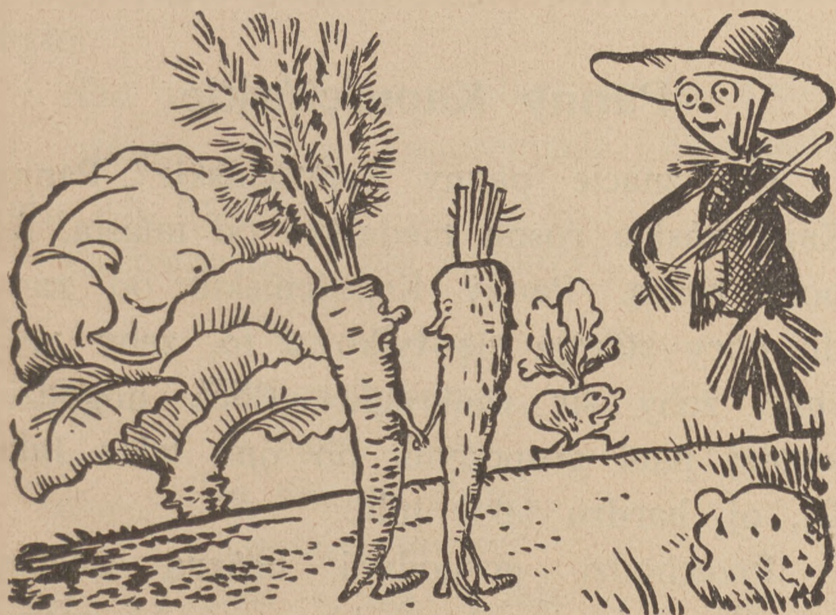
U samego dołu kartki był bardzo ładny obrazek: dużo drzew, dużo pożółkłych liści i dzieci, które te liście zbierały. Podobała nam się niespodzianka. Odtąd takie kalendarze będziemy robili wszyscy. Kto ładniej narysuje, odda do gazetki.

Na wycinkach z gazet widzieliśmy, jak się robi powidła. Pani pytała dzieci, w których domach smażą powidła na zimę. Powidła są smaczne i posilne.

Bal na grzędzie.

W ogródku na grzędzie bal będzie. Zebrały się jarzynki, wesołe mają minki. Nim pojadą na targ do miasta, chcą się wytańczyć i basta.

Oto bielutki kalafjorek, a przy nim czerwony pomidorek. Za nimi piękność, ani słówka, twarda i ścisła kapuściana główka. Obok niej, choć trochę się boczy, arbuz się toczy. Za arbuzem, z górki, biegnie żółta dynia, a za nią ogórki. Pietru-



szka z marchewką zgodnie wiodą się za rączki, a dalej kłótliwe, ale słodkie, strączki. Nawet buraczków jest cała gromada. Przyszła też rzodkiewka zabawić się rada. Tylko ta cebulka, nadąsana bardzo, mówi, że nie przyjdzie, bo nią wszyscy gardzą. Aż koper zawołał:

— Nie chcę tańczyć sam. Chodź, cebulko, ze mną w parę, to ci buzi dam!

Ustawili się wreszcie wszyscy na tej grzędzie. Zaraz bal będzie. Już przygrywa do tańca sam strach z patyka.

To ci muzyka!

Kto chce, niech fika.

Panny Kapuścińskie.

Czy znacie panny Kapuścińskie? Panny Kapuścińskie rosną niedaleko od miasta. Na polu rosną. Panny Kapuścińskie od rana do nocy starają się tylko o to, żeby urosnąć, żeby się zaokrąglić. Chcą dogodzić swojej pani gospodyni, bo ona takie lubi. Oj, oj, bardzo takie lubi.

Przechodzi gospodyni bruzdą między grządkami i aż rękami klaszcze! Aż głową chwieje i mówi:

— A to śliczne kapustki! A to mi się udały!

Jesień, to właśnie najlepsza dla nich pora. Zresztą one i zimy się nie boją. A co z nich ludzie w mieście i na wsi będą mieli pożytku! Zobaczycie!

Panny Kapuścińskie jadą z wielką paradą.

Gdy przyszły przymrozki, postanowiła gospodyni zabrać pod dach panny Kapuścińskie. Zaprzągł gospodarz parę koni do wozu. Pojechał w pole. Cały dzień go nie było.

Nad wieczorem z wielką paradą zwieźli do domu panny Kapuścińskie. Z dziesięć kóp ich było.

Zaskrzypiała zaraz szatkownica:

— Szat — szat — szat!
Szatkować kapustę
na bigosy tłuste,
na smaczne pierogi,
kapuśniak niedrogi.
Szat — szat — szat —
Szatkować!

Zadudniły zaraz do wtóru świeżo wymyte beczki i beczułki:

— W nas kapustę włożyć.
Kminkiem ją przełożyć.
Długo się nie bawić,
w piwnicy postawić.
Będzie dobra do lata.

A miski i garnki nuż pobrzękiwać na półce, jakby już do jedzenia zapraszały:

— Czem chata bogata, tem rada.
Kto zechce, niech siada, zajada!

Panny Kapuścińskie aż skrzypiały z dumy i zadowolenia.

Gospodyni obejrzała je uważnie i przebrała. Te, co do kwaszenia — osobno. Te, co do gotowania — też osobno.

Uciecha królików.

Kilka główek kapusty było nieurodnych i obmarzniętych po wierzchu. Ale i one się przydały. Janek wyprosił te główki kapusty dla swoich króli. To był bal! Króliki już dawno takiej sutej uczty nie miały. Już ostatni listeczek schrupały i jeszcze wąsikami ruszają, że to im tak smakowało!

Prace jesienne krasnoludków, czyli niedokończona bajka babci Barbary.

Usiadły dzieci cichutko dokoła babci Barbary. Babcia Barbara zaczęła mówić bajkę:

— Żyły, były krasnoludki. Czerwone miały czapeczki. Czerwone kubraczki. I butki też miały czerwone. Lubiły te krasnoludki pośmiać się wesoło i pofiglować. Ale najbardziej lubiły one pomagać dzieciom i zwierzątkom. Pewnego razu bawiły się krasnoludki pod leszczynowym krzakiem w chowanego. Wtem słyszą:

— Bu... uu... u... uu — płacze ktoś i płacze.

Wyjrzały krasnoludki, patrzą: wiewiórka siedzi na leszczynie. Wiewiórczym ogonkiem wiewiórcze oczka ociera i beczy, aż jej wiewiórczy nosek poczerwieniał.



— Czego ty, wiewióreczko, płaczesz? — pytają krasnoludki.

A wiewiórka na to:

— Kazała mi mamusia, ruda wiewiórusia, orzeszków na zimowe zapasy do śpiżarni nazbierać! A dzień teraz w jesieni krótki. Żebym nie wiem jak się zwijała, nie skończę tej roboty do wieczora.

— Nie płacz, wiewiórciu — powiadają krasnoludki. — Pomożemy ci.

Fik-mik! wdrapały się krasnoludki na leszczynę i rwą najdojrzalsze orzeszki do swoich czerwonych czapeczek.

— Ty, wiewiórko, tylko noś a noś. Do wieczora śpiżarka będzie pełna.

Jak krasnoludki rzekły, tak się stało. Wiewióreczka z wielkiej uciechy aż koziołki fikała. Ale krasnoludki nie miały czasu skakać. Oto jeden z nich przy tem zbieraniu orzechów kapotkę sobie rozdarł. Trzeba ją zeszyć. Ale skąd wziąć nici?

Pobiegły krasnoludki w pole. W polu po ściernisku snuły się nitki babiego lata. Zaraz też krasnoludek Siwobródek jedną niteczką dziurkę w kubraczku zacerował.

Resztę pajęczych nitek Dobrotek z Pocieszkiem schowali na zapas.

— Ho, ho — powiadają — przy pracy w polu i w lesie nieraz się to i owo rozedrze, będzie czem naprawiać. A dużo my, krasnoludki, roboty mamy. Wszystkim pomagamy, kto o pomoc prosi.

I rzeczywiście na drugi dzień przyszli krasnoludków o pomoc prosić dziwni goście. Byli to: jeż, wróbel, pszczoła i mały chłopiec, Janek. Każdy... —

W tem miejscu babcia Barbara przerwała nagle opowiadanie.

— Muszę koniecznie zajrzeć do kuchni, moje dzieci. Dopowiedzcie więc sobie same, jakie to nowe prace jesienne czekały naszych krasnoludków. O co prosił ich jeż? O co wróbel? O co pszczoła? A o co mały chłopiec, Janek?

Zagadka.

Zawsze wesół, zawsze żwawy
narodek malutki.
Czerwone mają kapturki
i czerwone butki.
Lubią figle, lubią psoty,

obce im są smutki.
Wszyscy znacie je z bajeczek.
Są to...........

Z naszej gazetki.

Najładniejszy kalendarz zrobił Władek. A najlepiej wyrysowała i opisała, gdzie byliśmy i co robiliśmy, Kazia. Ich kartki poszły do gazetki.

Na wycinkach widzieliśmy, jak we wsiach opatrują kopce z ziemniakami, by ziemniaki nie przemarzły w zimie.

Widzieliśmy też, jak ze wsi jadą fury do miasta z warzywami. Na zimę ludzie robią zapasy.

Na drugim obrazku jadą fury z miasta, naładowane węglem. Na kilku furach jadą ludzie ze sprawunkami, które porobili w mieście.

A trzeci obrazek przedstawiał Śląsk. Jak okiem sięgnąć, wszędzie fabryki i fabryki. I wysokie, wysokie kominy. Najlepszy węgiel mamy na Śląsku. Stamtąd rozwożą go koleją po całej Polsce. I do Gdyni wywożą. A stamtąd do innych krajów.

Rozmowa z deszczem.

— Puk, puk, puk!

— Kto to w okno puka?

— To ja, deszcz, deszcz, deszcz.

— Za naszemi oknami, za naszemi ścianami, co ty tam robisz, deszczu?

— Robię wilgoć, robię błoto. Chcę, żebyście wy, dzieci, nie mogły wyjść na dwór, na ulice, do ogrodu. Żebyście siedziały w domu i nudziły się i grymasiły. Tak, tak, tak!

— A nieprawda, deszczu, nieprawda. Nie będziemy się nudzić, nie będziemy grymasić! Mamy książeczkę z obrazkami, przeczytamy z tej książeczki wesołą powiastkę. Mamy niebieski i czerwony ołówek, narysujemy sobie wesoły obrazek. Mamy igiełkę ze złotem uszkiem, wyszyjemy na płótnie wesołego ptaszka. I mamy radjo, nasze kochane radjo. Nastawimy je sobie, usłyszymy wesołą muzykę. Przy tej wesołej radjowej muzyce zapomnimy o tobie, deszczu.

Wpierw, deszczu, sam się znudzisz, niż nam dokuczysz. Aha!

* * *

Październik chodzi po kraju, wygania ptactwo z gaju.

Z naszej gazetki.

To pewnie Janek znowu zrobił nam niespodziankę. Do gazetki przybyła nowa kartka. Było na niej napisane wszystko to, co dotąd robiliśmy w szkole: jakie mieliśmy wycieczki, co widzieliśmy na tych wycieczkach. Były też i rysunki ulicy, sklepów i ogrodu.

Na obrazkach byli także narysowani ludzie, którzy pracują na ulicy, w sklepach i w ogrodzie.

Jacy? Narysujcie sami.

Z dziennika klasy.

4 października. Te dzieci, co były na wsi, przyniosły do szkoły jagody jarzębiny, bzu czarnego, głogu i nasiona ostu. To będzie na pokarm dla ptaków w zimie.

17 października. Dziś był pierwszy przymrozek. O 6-tej rano dachy były zupełnie białe. Pokryte były szronem.

26 października. Ogrodnicy owijali słomą krzaki róż. Inne rośliny na kwietnikach przysypywali liśćmi.

Z następujących wyrazów mieliśmy ułożyć znane przysłowie: temu — rano — kto — daje — Pan — wstaje — Bóg.

31 października. Dziś w klasie obliczyliśmy, że w październiku było 12 dni pochmurnych, 10 dni słonecznych, a 6 dni deszczowych. 3 dni do południa było słońce, a po południu było pochmurno.

Polski hymn państwowy.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.
Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Jak Czarniecki do Poznania
Po szwedzkim zaborze,
Dla Ojczyzny ratowania
Wrócił się przez morze.

Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami.
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz, Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za twoim przewodem
Złączym się z narodem.

Trzy fotografje.

Dzisiaj Jacek pierwszy raz włożył mundur zucha.

Uroczysty to dzień w życiu Jacka.

Jadwisia, starsza siostra Jacka, ma aparat fotograficzny.

— Jeśli chcesz, to cię sfotografuję — powiedziała.

I sfotografowała Jacka w jego mundurze zucha.

Zdjęcie udało się. Jacek na fotografji miał wesołą i dzielną minę. Prawdziwy zuch.

Jadwisia pokazała fotografję mamie. Mama powiedziała:

— Włożę tę fotografję do albumu, będzie miłą pamiątką.

W albumie, zaraz na pierwszej karcie, są dwie fotografje i trzecie, puste miejsce.

Na tej pierwszej, już zblakłej, fotografji jest dziaduś Jacka w rogatywce. Na tej drugiej fotografji jest ojciec Jacka w ułańskiem czako.

Na trzecie, puste miejsce, włożyła mama fotografję Jacka w mundurze zucha.

Jaka radość i zaszczyt dla chłopca! Aż mu serce skoczyło do góry i buzia pokraśniała.

Przygarnęła go mama do siebie i tak powiedziała:

— Posłuchaj, Jacku. Twój dziadek walczył za Polskę i zginął w powstaniu. Twój ojciec podczas wielkiej wojny też walczył o Polskę w legjonach i wywalczył Ją. Polska jest już wolna. Teraz ty, synu, musisz dla wolnej Polski żyć i pracować w gromadzie zuchów, żeby Polska była coraz silniejsza, bogatsza i szczęśliwsza.

Dla Polski.

Dzieci, przebrane za leśne dzwonki, wbiegają cichutko, na paluszkach.

Dzwonek jeden mówi:

Żeby robotnik mógł budować,
żeby rolnik nasz mógł siać,
żołnierz polski na granicy
musiał twardo stać.
A gdy przyszła taka pora,
musiał życie dać.

Wszystkie dzwonki razem:

Wiemy o tem, wiemy!
Na mogiłkach tych żołnierzy
po lasach rośniemy.

Dzwonek:

Dzielne były serca.
Wielką mocą biły.
Kule i bagnety
krew z nich wytoczyły.

Wszystkie dzwonki razem:

Teraz w naszych kwiatach,
gdy z wiatrem się kłonią,
serca tych żołnierzy
znów dla Polski dzwonią.

Płynie z leśnych dzwonków
piosnka legjonowa,
a kto się w nią wsłucha,
ten zrozumie słowa:

Śpiewają:

„Jedzie, jedzie na kasztance...
Siwy strzelca strój...
Hej, hej! Komendancie,
miły wodzu mój!“

Dzwonek jeden mówi:

Rośniemy w ciemnym lesie,
dzwonimy w głuchej ciszy...
Któż piosnkę tę usłyszy?

Wszystkie dzwonki:

Słyszy czarna ziemia
i słonko, co świeci.
Słyszą ją serduszka
wszystkich polskich dzieci.
Słyszą i wnet echem
oddzwonią serdecznie
żywe serca dzieci,
które biją wiecznie.

Słychać wesoły marsz. Wchodzą dzieci przebrane za serduszka.

S e r d u s z k a :

Jesteśmy serca dzieci.
Każde, to żywy dzwon,
który miłością bije.
Słuchaj, Ojczyzno miła:
choć my serduszka małe,
wielka w nas rośnie siła.
Dla Ciebie, Polsko, chcemy żyć!
Dla Ciebie, Polsko, zawsze bić!
Choć my serduszka małe,
rozdzwonim Twoją chwałę
od szczytu Karpat
aż po morza próg!
Tak nam dopomóż Bóg.

W s z y s c y śpiewają, stojąc na baczność:

— Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy!
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy!

*
* *

Wszyscy Święci, zima się kręci.

Z dziennika klasy.

1 listopada. Byliśmy na wojskowym cmentarzu. Przybraliśmy groby wieńcami,

które zrobiliśmy wczoraj. W grobach tych leżą żołnierze, którzy walczyli za Polskę.

Byłem także na cmentarzu, na grobie babci. Groby były przystrojone palącemi się świecami i lampkami. Na cmentarzu było dużo ludzi.

11 listopada. Wszyscy dziś uroczyście obchodzili święto. Po nabożeństwie zebraliśmy się w szkole. Szkoła była ładnie ubrana. Przystroiliśmy ją tak wczoraj. Przyszli i rodzice. Pan mówił, jak to Marszałek Piłsudski z naszymi ojcami wypędzili Niemców z Polski. Dzieci odśpiewały kilka pieśni i mówiły wiersze.

20 listopada. Dziś uczyliśmy się pisać nazwy miast, wsi i ulic. Pisaliśmy: Warszawa, Kraków, Lwów, Poznań, Gdynia, Wilno, Łódź, Katowice. W domu mamy wypisać wszystkie znane nam nazwy ulic i wsi.

Ojczyzna.

Ojczyzna — to rodzinny dom,
w którym ja żyję z rodzicami.
Ojczyzna — to jest szkoła ta,
gdzie uczę się wraz z kolegami.

Ojczyzna — to jest miasto, wieś
i wieś sąsiednia i miasteczko.
Ojczyzna — to jest pole, las,
łąka pocięta wąską steczką,
rzeka, co płynie za łąkami,
góry, co błyszczą pod chmurami,
morze, gdzie w porcie statki stoją.
Wszystko to jest Ojczyzną moją.

Chcę się uczyć.

Chcę się uczyć, żeby zmądrzeć. Zmądrzeć chcę, by dobrze żyć. Każde dziecko w naszej Polsce musi mądre, dzielne być.

Z naszej gazetki.

Gazetkę wypełniły same wycinki. Było ich bardzo dużo.

Na jednym obrazku dzieci jednej ze szkół z Warszawy składały wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza. Grób ten znajduje się na placu Marszałka Józefa Piłsudskiego. Na grobie Nieznanego Żołnierza palą się zawsze ognie.

Na drugim obrazku był Zamek, w którym mieszka Pan Prezydent.

Na trzecim obrazku był Belweder, w którym mieszka Marszałek Piłsudski i pani Aleksandra Piłsudska i ich dwie córki.

Na innych obrazkach było wojsko: piechota, kawalerja i artylerja. Wojsko maszeruje przed Marszałkiem Piłsudskim. Marszałek Piłsudski uśmiecha się na obrazku. Widać, że jest z wojska zadowolony.

Policja na koniach też wyglądała ładnie.

Defilada.



Dzieci pracują.

Już jest coraz zimniej. Wczoraj spadł śnieg. Zima zaczyna się na dobre.

Mama mówi do dzieci:

— Dziś opatrzymy okna i drzwi, żeby w zimie było ciepło w mieszkaniu.

Cieszą się dzieci, że będą mogły pomóc mamie, i zabierają się do roboty.

Władek tnie długie paski z papieru. Zosia przygotowuje klajster. A Stach z mamą zatykają szpary watą. Mama upomina Stacha:

— A pamiętaj, że górnego okna zalepiać nie będziemy. Trzeba przecież i w zimie wietrzyć mieszkanie.

— Dobrze, dobrze, pamiętam — mówi Stach. — W szkole to całe okno zostawiliśmy niezalepione, aby lepiej można było wietrzyć klasę.

Gdy szpary były już pozatykane watą, Zosia i Władek zalepili je paskami papieru i robota skończona.

Teraz zimny wiatr nie będzie przedostawał się do mieszkania.

Watowe ludki.

Skąd się wzięły watowe ludki?

Zostało trochę waty od opatrywania okien na zimę. Tej białej waty najwięcej.

Ale czerwonej i zielonej też zostało po sporym kawałku.

— Możecie wziąć sobie tę watę do zabawy — powiedziała mama.

Dzieci ucieszyły się i zaraz zaczęły myśleć, co z tej waty zrobić.

Wymyśliły:

— Zrobimy watowe ludki.

I wzięły się do roboty. Co przy tej robocie było żartów, co śmiechu! I tylko z początku było troszeczkę trudno. Potem szło już jak po maśle. Nawet mamusia ni razu nie pomogła. Wszystko dzieci robiły same.

Janek przygotował patyczki do osadzenia laleczek. Henia kawałeczki płótna wypchała watą, i to były główki laleczek. Przy szyi związała gałganek nitką bawełny i przymocowała główkę u góry patyka. Irenka na każdej główce wymalowała wodnemi farbami twarzyczkę: oczy, nosek, usta i rumieńce na policzkach. A potem Jurek, wielki majster, do patyczków przymocował cienkie druciki, okręcone watą, i to były rączki i nóżki watowych ludzików. Korpusy też im porobił Jurek z waty.

Ale wata strzępiła się i kosmaciła. Na to trzeba było coś poradzić. I poradziła Elżbietka. Elżbietka całą powierzchnię waty posmarowała piórkiem, umoczonem w białku surowego jajka. Co więcej, nim to białko wyschło, Elżbietka posypała watę bornym kwasem i niektóre laleczki błyszczały i świeciły się jak ubrylantowane.

To było śliczne.

— Wiecie co? — zawołał Jurek — szkoda tych naszych ludków do zwyczajnej zabawy. Urządźmy teatrzyk i pokażmy je całej klasie.

— Doskonale!

Watowe ludki wędrują do szkoły.

Na drugi dzień watowe ludki były już w szkole. Wszystkim koleżankom, wszystkim kolegom podobały się bardzo.

Na robotach pani nauczycielka pozwoliła poubierać te laleczki, każdą inaczej.

Teraz dopiero jest na co patrzeć i z czego się śmiać!

Oto siwy dziaduś i Piotruś Pocieszka. Oto śnieżynki Pecynki i bałwanek śniego-

wy. Podczas dużej przerwy odbędzie się przedstawienie.

Uwaga, koledzy! Uwaga, koleżanki! Diń! dyń! diń! Pierwszy dzwonek. Przedstawienie rozpoczęte.



Za ławką siedzą ukryci Jurek z Elżbietką. Oni to będą poruszać laleczkami i za laleczki przemawiać i śpiewać. Trudno, watowe ludki same tego nie potrafią, niebożęta. Trzeba je wyręczyć.

Cyt! Cicho! Sza! Już się zaczyna...

— Patrzcie! patrzcie! — wołają widzowie.

Przedstawienie: Piotruś i Dziaduś.

Nad ławką ukazał się siwy dziaduś w kożuszku. Drepcze jak żywy i jak żywy narzeka:

— A to zima, że zima! Jak złapała, tak trzyma! Ledwo że się mogę ruszać, a tu trzeba w ręce chuchać. Hu! hu! hu!

Tak narzeka siwy dziaduś, a tu się ukazuje wesoły Piotruś Pocieszka w czerwonym kubraczku. Piotruś skacze jak żywy i jak żywy woła:

— Dziadku! jak się macie?

A dziaduś na to:

— Co tu robisz, skrzacie? Oh, lepiej siedziałbyś w chacie. Czego chcesz?

Piotruś: — Chcę, dziadku, wiedzieć, bo jestem ciekawy, kto to dla zabawy tak sypie śnieżkami? Kto sople lodowe wiesza u gałęzi? Kto rzeki i stawy w twardym lodzie więzi?

Dziaduś: — Kto? To nie nowina. Wiadomo, że zima. Ani słowa! Sroga to i mocna okrutnie królowa.

Piotruś: — Królowa? Zobaczę, jak ona wygląda.

Dziaduś: — Czego ci się żąda? Ta królowa Zima mieszka stąd daleko: za lodową górą, za zmarzniętą rzeką. Nikt z ludzi, nieborzę, dojść do niej nie może. Wicher tam czatuje. Mróz drogi pilnuje.

Piotruś: — A ja jestem silny, mrozu się nie boję.

Dziaduś: — Patrzcie, taki mały, a jaki to śmiały! Kiedy tak, idź, zuchu, w drogę. Ale sam, bo ja nie mogę. Sto lat mam na grzbiecie, to mi ciężko przecież. Pójdę, zagrzeję się w domu u komina.

Dziaduś odchodzi, a Piotruś woła za nim:

— Dowidzenia, dziadku.

Gdzie też może mieszkać ta królowa Zima?

Piotruś i Śnieżki.

Ukazują się dwie małe, białe, jednakowiuteńkie siostrzyczki Śnieżyczki.

Piotruś (dziwi się):

— A to co?

Śnieżyczki (też się dziwią):

— A ty, kto?

Piotruś (kłania się): — Ja jestem Piotruś Pocieszka.

Śnieżka: — A ja jestem Śnieżka. I ona jest Śnieżka. My służymy u Zimy. My jesteśmy duszki, co sypią na ziemię te śniegowe puszki. Pac! pac! pac! Lecą srebrne śnieżki! Syp! syp! syp! Zasypują ścieżki!

Piotruś: — Tak milutko wyglądacie, a ludziom to dokuczacie!

Śnieżki: — Co za dokuczanie? Jakie dokuczanie? Spadnie śnieg — jest sanna! Macie przecież sanie? Jest lód — to ślizgawka. Nie pyszna zabawka? Mkniesz na łyżwach jak jaskółka, zataczając koła, kółka. Pędzisz, lecisz wdal po lodzie, myśląc tylko o przygodzie. Hu-ha! Hu-ha! Tak radośnie, aż serduszko w piersi rośnie, gdy tak pędzisz, mój kochany, przez ten świat zaczarowany!

Piotruś: — A dojechałbym do Zimy?

Śnieżki: — Aż do Zimy? Zobaczymy.

Naradzają się obie pocichu i śmieją się:

— Zróbmy tak! Zróbmy tak! Będzie śmiechu! Cha, cha, cha!

Chcesz zobaczyć, Piotrusiu, Zimę we własnej osobie? Chwilkę tylko zaczekaj. Przyprowadzę ją tobie.

Śnieżki wybiegają i po chwili przyprowadzają... Bałwanka.

Piotruś i Bałwanek.

Śnieżki: — Jak ci się, Piotrusiu, podoba ta wspaniała osoba?

Piotruś: — To jest królowa Zima?

Bałwanek: — Jak się masz, Piotrusiu, kochany urwisie. Czy podobam ci się?

Piotruś: — Nie ubliżając Zimie królowej, tak pani wygląda... jak bałwan śniegowy. Zamiast korony kapelusz podziurawiony. Usta z marchwi, nos z buraka, a berło... z miotły-drapaka.

I Piotruś zaczyna się śmiać:

— Cha, cha, cha! To naprawdę jest bałwan prawdziwy, jak żywy!

Bałwanek też się śmieje:

— A co? Nie mówiłem, że mnie pozna Piotruś zuch? Uch! uch! uch!

Wtem słychać cichutkie dzwonienie: dzyń-dzyń-dzyń!

Śnieżki: — To Zima królowa. Widać już srebrne sanie! Biegnijmy na spotkanie!

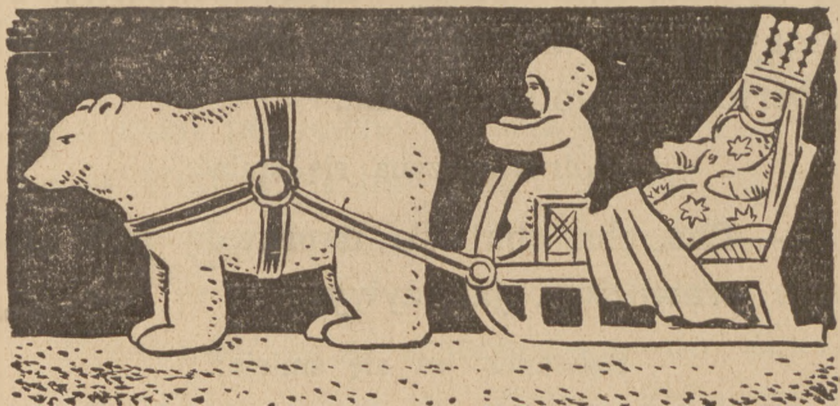
Przyjeżdża Zima.

Nad ławką ukazują się papierowe, watą oklejone sanki. Te sanki ciągnie wycięty z papieru i oklejony watą biały niedźwiedź. W sankach siedzi wspaniale ubrana królowa Zima.

Piotruś: — To królowa Zima! Wreszcie ją zobaczę!

K r ó l o w a Z i m a: — Bałwanku, dlaczego ten chłopczyk tak skacze?

B a ł w a n e k: — To z radości, że cię widzi, najjaśniejsza pani.



K r ó l o w a Z i m a: — Kiedy tak, to chodź, chłopczyku. Wsiądź do moich sani.

Piotruś ucieszony gramoli się do sanek. Biały niedźwiedź mruczy. Sanie ruszają.

Piotruś śpiewa i wszyscy śpiewają razem z Piotrusiem Pocieszką:

— Pojedziemy patataj,
tam, gdzie Zimy srebrny kraj!
Tam, gdzie pałac jej lodowy,
diamentowy, brylantowy.
Gdzie gwiazd srebrem
wszystkie ścieżki
zasypały małe Śnieżki.

Odjeżdżamy w srebrny kraj!
Patataj! Patataj!

Koniec przedstawienia.

I odjechali. To jest: zniknęli pod ławką.

— Brawo! Brawo! — wołają widzowie.

Jurek i Elżbietka wychodzą z za ławki. W obu rękach trzymają patyczki z watowemi ludkami.

— Niech żyją watowe ludki! — wołają wszystkie dzieci.

— Kiedy będzie drugie przedstawienie? — dopytują się uczniowie z innych klas.

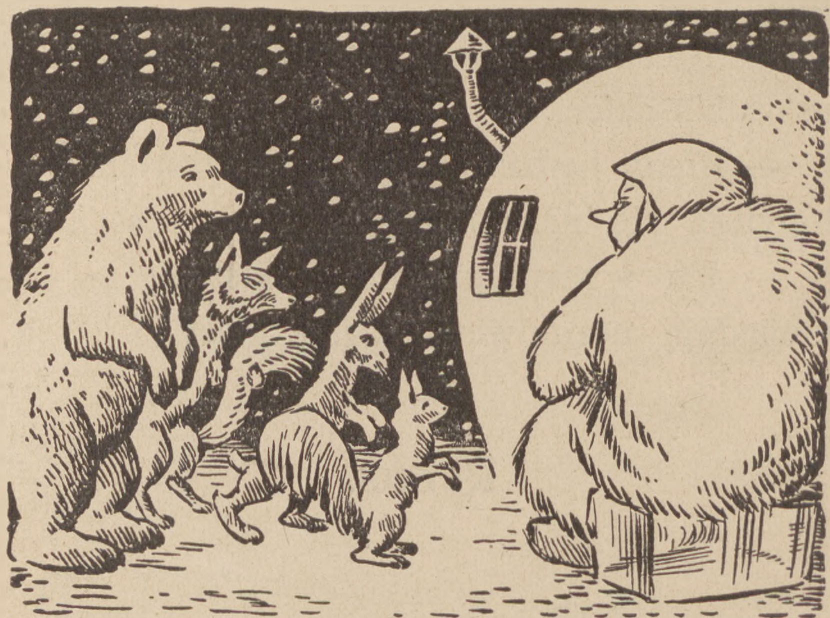
— Jak wymyślimy nową historję — odpowiadają uczniowie drugiej klasy.

Rebus.



W ZIMIE.

Jak zwierzęta szły do Babulki Zimy po ciepłe odzienie.



W lecie ubrać się można w byle co, spać byle gdzie, bo ciepło. Ale teraz, kiedy zimno? Kłopot. Poleciały ptaki do Babulki Zimy. Stuk-puk! Stuk-puk! w lodową szybkę.

Wyjrzała Babuleńka Zima ze swojej chałupki na lodzie.

— Kto tam? Czego potrzebuje?

— To my, ptaki. Potrzebujemy puchowych kamizeli, bo nam bardzo zimno.

Dała Babulka Zima puchowe kamizele ptakom. Sama siadła sobie pod piecem i pierze drze. Aż tu idzie lis z wilkiem.

Stuk-puk! Stuk-puk! w lodowe drzwi. Wyjrzała Babuleńka Zima z chałupki:

— Kto tam? Czego potrzebuje?

— To my, lis z wilkiem. Potrzebujemy nowego, ciepłego futra, żebyśmy nie marzli na łowach.

Dała Babuleńka Zima ciepłe futro lisowi i wilkowi. Sama siadła sobie pod piecem i pierze drze. Aż tu biegnie zajączek z wiewiórką.

Stuk-puk! Stuk-puk! w lodowy próg chałupki.

Wyjrzała Babuleńka Zima.

— Kto tam? Czego potrzebuje?

— To my, zajączek szaraczek z wiewiórką rudaską. Prosimy bardzo o inne futerka.

— O jakie?

— O jaśniejsze. Bo w tych ciemnych zdaleka widać nas na białym śniegu.

Poszukała Babulka Zima w swojej zimowej skrzyni. Znalazła jeszcze zimowe futerka dla zajączka i dla wiewiórki.

— Macie. Ubierzcie się i zmykajcie.

Ubrali się i zemknęli. Babulka siadła pod piecem i pierze drze. Aż tu człapie coś wielkiego po śniegu. Stuk-puk! całą łapą w śniegowy dach lodowej chałupki.

Babulka Zima odrazu wiedziała, że to stary Miś z dąbrowy. Wydostała dla niego największy i najcieplejszy kożuch.

— Masz, Misiu, okryj ciepło swoje niedźwiedzie kości. Wróć do dąbrowy i śpij.

— Dziękuję, — zamruczał Miś — okryję się po sam nos i będę spał aż do wiosny.

Poszedł. A Babulka Zima znów wzięła się do darcia pierza. Już jej teraz chyba nikt nie przeszkodzi.

Szczeniątka.

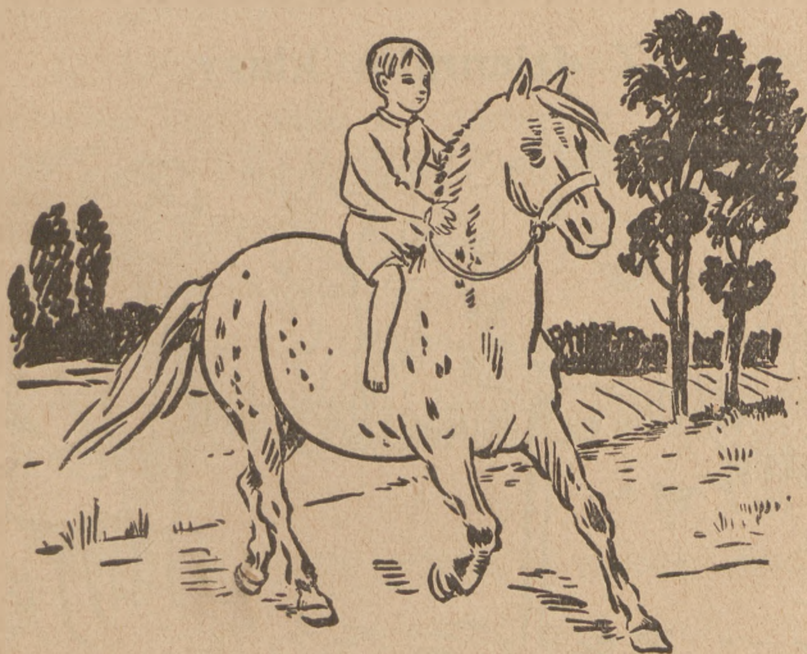
Bezliku jest szczeniątek w koszyku.
Jedno podobne do matki.
Drugie w białe łatki.

Trzecie czarne, jak wronka.
Czwarte bez ogonka.
Podpalanych dwoje.
A ostatnie najładniejsze,
bo to będzie moje!

*
* *

Co to za zwierzę: pilnuje domu i dobytku strzeże?

Piosenka o konikach.

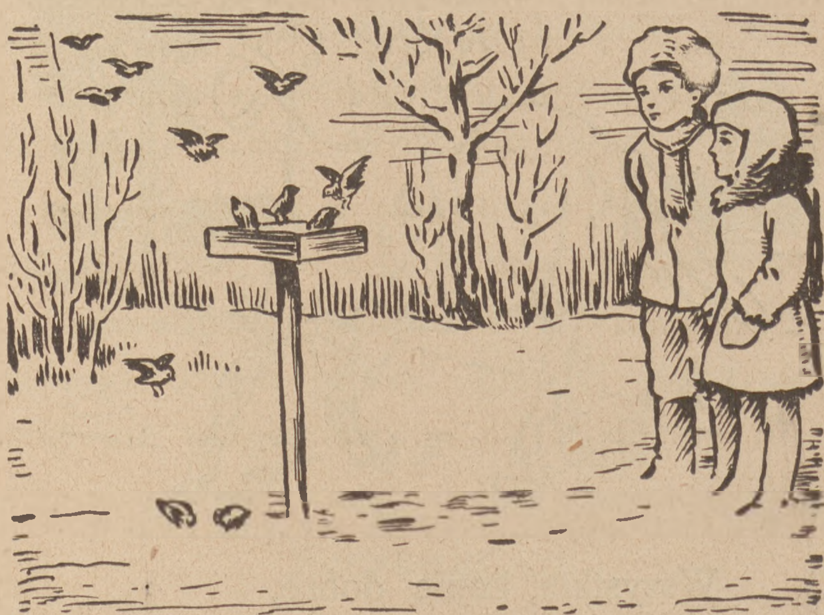


Wszystkie konie dobre,
najlepszy mój siwy.
Przepłynął Wisełkę,
nie zamaczał grzywy!

Dobry konik siwy,
ale lepszy kasztan.
Przepłynął Wisełkę,
kopytami trzaskał!

Dobry konik kasztan,
lecz lepszy bułany.
Przywiózł mnie prościutko
do domu, do mamy!

Z dziennika klasy.



15 listopada. Patrzyliśmy, jakie ptaki odwiedzały karmnik.

Uczyliśmy się pisać następujące wyrazy: ptaszek, szaruga, szron, kaszel, szewc, szal, szatnia.

16 listopada. Byłem z mamą u naszego sąsiada krawca. Krawiec wziął miarę na palto dla mnie. Pokazał nam dużo różnych materjałów. Mama wybrała jeden z nich. Były tam materjały wełniane i bawełniane w różnych kolorach. Moje palto będzie wełniane, granatowe.

18 listopada. Dziś poszedłem do miary. Krawiec szył palto na maszynie. Poprzyszywał guziki i wydziergał dziurki. Jutro palto będzie gotowe. Trzeba je tylko wykończyć i wyprasować!

20 listopada. Opowiadaliśmy w klasie, jak pracuje krawiec. Jakiemi posługuje się narzędziami.

*
* *

Grudzień ziemię grudzi, a izdebki studzi.

Dzieci się cieszą.

Biały śnieżek gęsto leci, więc się cieszą wszystkie ...... Zima! Gwarno dookoła, bo zabawa wre ...... Lecą śnieżki! Mkną saneczki! Na łyżewkach pędzą dzieci, a sło-

neczko jasno ...... I mróz zdrowo buzie krasi Janka, Franka, Krysi, ... Juli, Zuli, Jadzi, Mieci i wszyściutkich naszych ...... Wiwat zima, śnieg, mróz, słońce! Wiwat dzielne, małe brzdące!

Historja złotej szyszki.

W kącie pokoju stała choinka. Wisiały na niej: pajace, koszyczki, pająki ze słomy, szyszki złocone i dużo innych zabawek. Dzieci same wszystkie te zabawki robiły. Gdy dzieci już spały, a w pokoju było ciemno, zabawki zaczęły sobie opowiadać, w jaki sposób i z czego je zrobiono.

Pierwsza zaczęła szyszka:

Ja pochodzę z lasu. Rosłam na wysokiej sośnie. Rosłam trzy lata. W pierwszym roku byłam maleńka, koloru zielonego. Łuski moje były miękkie. W drugim roku łuski moje, dotychczas zielone, zdrewniały i stały się brunatne. W trzecim roku łuski moje stały się zupełnie suche, poотwierały się. Pomiędzy łuskami miałam ukryte nasionka. Moje nasionka smakowały bardzo wiewiórce i dzięciołom. Jednego razu dzięcioł, wyjadając nasionka,

szarpnął mnie tak mocno, że upadłam na ziemię.

Znalazły mnie dzieci. Przyniosły do domu. Rozrobiły farbę na miseczce i pomalowały mnie na złoty kolor. Przywiązały mi do ogonka nitkę i na niej zawiesiły mnie na choince. Dziś cała lśnię w blasku świeczek.

Następnie opowiadały swoje historje pajac i pająk ze słomy. Opowiedzcie, co te zabawki mówiły.

Zagadka.

Wiecie, kto ona: koląca, zielona, w lesie rosła, na placu ścięta stała. Teraz się cała cackami świeci i cieszy dzieci.

Choinka w szkole.

Weźmy się za ręce,
chłopcy i dziewczynki.
Zatańczymy razem
dokoła choinki.

Ta nasza choinka
stoi w szkolnej sali,
a na niej się tuzin
jasnych świeczek pali.

Tę naszą choinkę
stroiliśmy sami
wspólnie zrobionemi
barwnemi cackami.

Dokoła choinki
jest tu miejsca dosyć.
Możeby i inne
dzieci też zaprosić?

Zaprosimy wszystkie
do tej naszej szkoły,
w to radosne święto,
w ten wieczór wesoły.

Cieszcie się, ptaki.

Cieszcie się, ptaki! I wy będziecie miały swoją choinkę.

Przez całą jesień zbierały dzieci różne nasionka. Zbierały dzieci mak. Zbierały słonecznikowe ziarnka. Zbierały jagody jałowca, kaliny, jarzębiny. Zbierały kłosy na ścierniskach i szyszki w lesie. Nie marnowały też dzieci okruchów z chleba. Teraz przyda się to wszystko. Przyda się na choinkę dla ptaków. Co też to będzie za choinka!

Za szkołą, w ogródku, wybrały dzieci ładny, rozłożysty świerczek. Na czubku świerczka zawiesiły okrągły słonecznik, jak gwiazdę. A potem stroiły dzieci świerkowe gałązki pęczkami kłosów i szyszkami. Niektóre gałązki oblały roztopionem sadłem. Na innych pozawieszały kawalątka słoniny, obsypane makiem.

Dużo okruszków i ziarenek posypały dzieci dokoła świerczka, na ziemi, z której śnieg czysto odmiotły. Potem odeszły na bok.

Stoją teraz cichutko i czekają.

Dzieci są ciekawe, jakie też to ptaszki przyfruną do tej choinki. I które ptaki będą jadły ziarenka? Które wybiorą słoninkę? A które okruszki?

Szopeczka.

— Kukuryku! Kikiriki!

Co też to się dzieje? Na szopeczce, na wieżyczkach kurek z kurkiem pieje. Szopeczkowe kukiełki gwar tam czynią wielki.

Mówi kukiełka szmaciana, za Heroda przebrana, do kukiełki Djablika, która z widłami fika:

— Nie będziemy w kobiałce gnieść się do wieczora. To nic, że wczesna pora. Publiki nam nie trzeba. Za spuszczoną zasłoną niechaj świeczki zapłoną: odegramy Jasełka dla Jezuska z nieba!

Hyc, hyc, hyc! Hop, hopki!

I kukiełki wskoczyły do szopki.



Mówi kukiełka szmaciana, za Aniołka przebrana:

— Popiszmy się gładko. W imię Boże zaczynamy! Tańcuj, Małgorzatko!

Hopsa! hopsa! hopka! Aż się trzęsie szopka.

Jakie też to było przedstawienie w tej szopeczce na zasłoniętej scenie!

Jakże też tam pięknie przedstawiali! Tańcowali, skakali, śpiewali!

I nie można lepiej i nie trzeba.

A kto patrzył na to wszystko?

Sam Pan Jezus z nieba.

* * *

Trzej królowie pod szopą, przybyło dnia na kurzą stopę.

Z naszej gazetki.

Dziwne były dzisiaj obrazki w naszej gazetce.

Obrazek I. Całe pole pokryte białym śniegiem. Daleko, daleko las. A pod lasem mały domek. Nazywa się strażnica. Niedaleko domku stał żołnierz. Pani nam mówiła, że to żołnierz, który pilnuje granicy Polski. Możemy spać spokojnie, możemy pracować spokojnie. Bo na granicy stoi żołnierz polski.

Obrazek II. Żołnierze siedzą przy stole. Oficer rozdaje im paczki. To podarki z różnych stron kraju. Jeden dostał pacz-

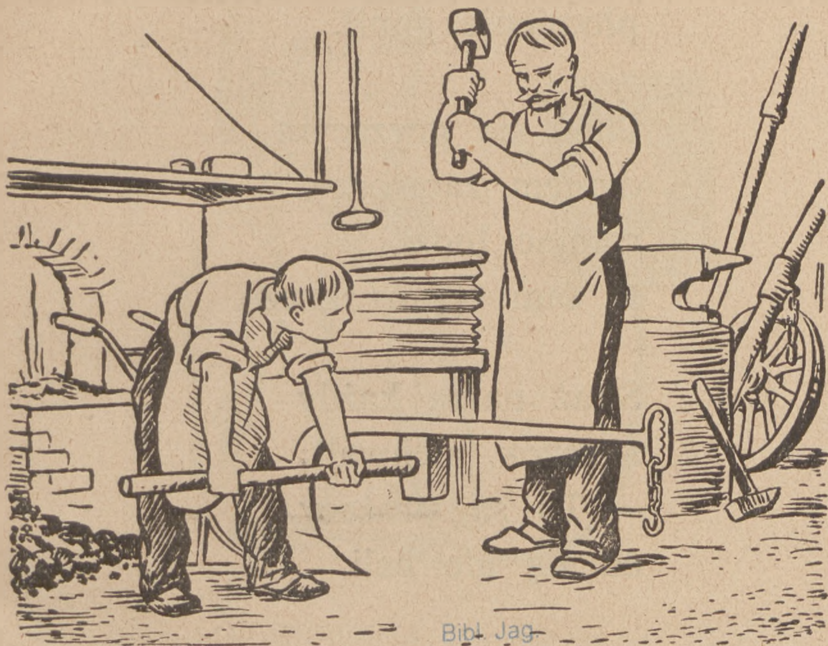
kę tytoniu i czekolady. Inny znów placek z makiem. Każdy prawie otrzymał inny podarek. Dzieci jednej ze szkół posłały tym żołnierzom rękawiczki. Same dzieci zrobiły te rękawiczki.

Kominiarczyk.

Któż to stanął tak bez strachu
na samiutkim szczycie dachu?
Pod nim, w dole, miasto całe.
Nad nim, tylko ptaki śmiałe.
Któż to jest ten zuch?
To jest młody kominiarczyk.
Pracuje za dwóch.
Dźwiga miotłę, szczotkę, sznur
i kominy szur-szur-szur
czyści na wszyściutkie strony.
Oj, już cały usmolony!
Trudno, z pracy tak wypada.
Ale na to też jest rada:
woda, mydło — mydło, woda
i powraca wnet uroda.
Czarny kominiarczyk mały
będzie, tak jak i my, biały.

O kowalu.

(Wierszyk do zgadywania.)



W kuźni dużo jest roboty.
Sapią miechy, biją .....
Kowal .... nowy pług.
Dopomóż mu Bóg.

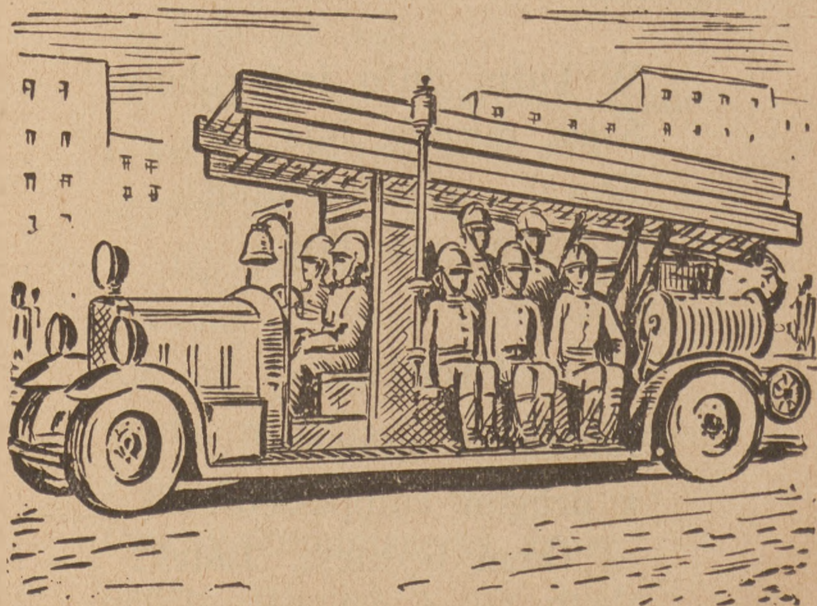
Strażak.

Rozmawia chłopak
z drugim chłopakiem:
— Czem będziesz, Tadek?
— Będę strażakiem.

W błyszczącym kasku,
z toporem w dłoni,
będę sikawką
płomienie gonił.

Choć się gryzącym
dymem zamroczę,
ratując ludzi,
w sam ogień skoczę.

Straż naszą każdy
z serca pochwali:
— To są strażacy,
co się nie bali.



Prędko i dobrze.



Marysia zapomniała, co jest zadane na jutro z polskiego. A tu dochodzi już siódma. Co robić? Zaraz! Przecież na dole w sklepie jest telefon!

Zbiegła Marysia czem prędzej do sklepu. Opowiedziała swój kłopot pani kasjerce.

Za chwilkę dzwoniła Marysia do Zosi na drugi koniec miasta.

Zosia ma telefon u siebie w domu. Zaraz podeszła do aparatu, wzięła słuchawkę i mówi:

— Hallo! Tu Zosia Makowska.

— Hallo! Tu Marysia Dębowska. Powiedz mi, Zosiu, co zadane na jutro z polskiego?

— Mamy narysować trzy obrazki: na jednym świecę, na drugim lampę naftową, na trzecim lampę elektryczną. I mamy jeszcze...

— Już wiem: pomyśleć, przy jakiem świetle pracowali dawniej ludzie i czy im było wygodnie.

— Tak.

— Dziękuję ci, Zosiu. Dowidzenia.

— Dowidzenia, Marysiu.

I już po kłopocie.

Listonosz.

— Stuk-puk!

— Kto tam?

— Drzwi otworzyć proszę. Tu listonosz. List przynoszę polecony. Czy tu mieszka Piotr Zielony?

— Tak.

— To proszę pokwitować. Dowidzenia.

— Boże, prowadź!

— Driń, driń!



— Kto tam?

— Drzwi otworzyć proszę. Z poczty paczkę ja przynoszę. Czy tu mieszka pani Bielska?

— Tak.

— To paczka jest dla pani. Nieczytelny adres na niej, dużo więc kłopotu miałem, zanim wreszcie odczytałem. Ciężka. Książek widać dużo. Niechaj pani dobrze służą.

— Stuk-puk!

— Kto tam?

— Drzwi otworzyć proszę. Przekaz. Pieniądze przynoszę. Dla pana Jana Marmurka przysyła wdzięczna córka z Nowego Miasta złotych sto.

A teraz — basta! Z torbą pustą wracam na pocztę. Odpocznę.

Kupujemy węgiel.

Pan Mateusz Szostak ma skład opałowy. Pan Mateusz Szostak chwali sobie zimę. A mieszkańcy naszego miasta chwalą pana Mateusza Szostaka. Bo cobyśmy robili w zimie bez węgla i bez drzewa?

Zaraz na początku zimy ojciec zakupuje w składzie zapas węgla i drzewa. Ale gdy zima jest bardzo mroźna, trzeba dużo palić w piecu. Wtedy węgla brak w piwnicy i mama musi kupować węgiel na koszyki.

Węgiel w koszu przynosi do kuchni węglarz ze składu opałowego. Ciężko dźwigać na plecach taki ogromny kosz po schodach na piętro. Ale węglarz uśmiecha się białemi zębami. Mówi:

— Jak jest robota, to już dobrze.

Przy ciepłym piecu.

Niech mróz mrozi, niech wiatr wieje!
Nam się tutaj dobrze dzieje,
gdy w piecu pali się!
Gdy w piecu pali się!

A ktoby się to spodziewał:
trochę węgla, trochę drzewa
i ciepło stało się!
I ciepło stało się!

Więcej nam nie trzeba wcale.
Gdy się w piecu ślicznie pali,
wszyscy grzejemy się!
Wszyscy grzejemy się!

W mroźny dzień.

Straszny mróz dzisiaj.

Mały Boleś został w domu, nie poszedł do przedszkola. Ale Hela jest duża, Hela idzie do szkoły.

Na rogu ulicy stoi żelazny kosz z palącym się koksem. Widzi Hela: dużo ludzi zebrało się przy tym koszu. Kto lekko ubrany, komu mróz dokucza, ten grzeje się tutaj przy ogniu. I mały gazeciarz i stary dorożkarz. I urzędnik, który ma

daleką drogę do biura. I bezrobotni, co chodzą w taki mróz po mieście, szukając roboty.

Hela też przystanęła. Rozgrzała sobie zmarznięte ręce i, już wesoła, prędziutko pobiegła do szkoły.

Na ulicy.

Maniek mówi:

— Przez ulicę przechodzić nie sztuka — i nie uważa, gdy idzie. A tu dziś bęc! i wpadł pod samochód. Całe szczęście, że szofer w porę zahamował. Przyskoczył policjant i podniósł Mańka. Chłopak był cały, ale porządnie potłuczony.

Teraz leży Maniek w łóżku, w domu. Co go zaboli, to stęka. A co mu ból trochę ulży, to sobie przypomina:

— Iść chodnikiem prawą stroną.

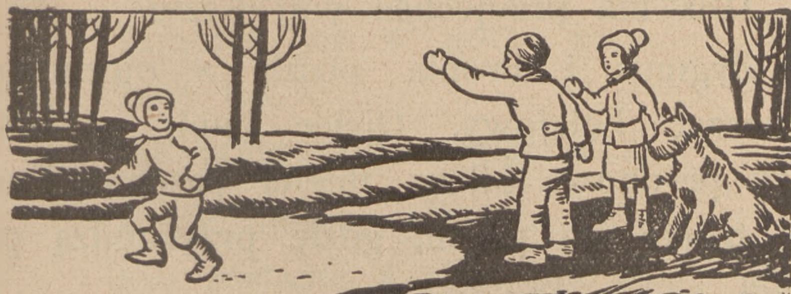
Przechodzić przez jezdnię w wyznaczonych na to miejscach.

Do połowy jezdni patrzeć w lewą stronę, a potem w prawą.

Nie zatrzymywać się niepotrzebnie.

Oj, czemu sobie Maniek wcześniej nie powtarzał tych przykazań?

Historyjka w obrazkach.









Przyjazd wuja Kazia.

Dziś ma przyjechać wuj Kazio.

Zygmuś i Bronia poszli z ojcem na dworzec kolejowy. Ojciec kupił w kasie trzy peronowe bilety. Bileter przepuścił całą trójkę na peron, gdzie przychodzą pociągi.

Dużo ludzi już tam było. Numerowi dźwigali różne walizy i pakunki. Na jednym torze stał pociąg towarowy, a drugi tor był pusty. Pociąg pośpieszny miał dopiero nadejść za pięć minut.

— Pewnie się spóźni — martwiła się Bronia.

Ale pociąg przyszedł punktualnie. Miał śliczny parowóz. A wozy były różne. Nietylko trzeciej, drugiej i pierwszej klasy, ale sypialne wozy miał i wóz restauracyjny.

Dzieci tak się zagapiły na ten pociąg, że nawet nie spostrzegły, z którego wozu wysiadł wuj Kazio. Dopiero gdy zawołał:

— Jak się macie, dzieci! — Zygmuś i Bronia rzucili się wujowi na szyję.

Samolot i dzieci.

Zobaczyły oto dzieci
samolot, jak w górze leci.
Leci tak,
jak srebrzysty, wielki ptak.

I już mówią tylko o tem,
kto zostanie z nich pilotem,
co kieruje samolotem?
A kto będzie inżynierem,
co samolot ten zbudował
tak,
że w górę poszybował
niby ptak?

*
* *

Gdy mróz w lutym ostro trzyma, wtedy już niedługo zima.

Pan Prezydent.

W stolicy, w Warszawie
śliczny Zamek stoi.
Podwoje otwarte,
warta u podwoi.

Na tym ślicznym Zamku
w dawnych, dawnych latach
mieszkali królowie
w purpurowych szatach.



Przeminęły lata...
I na Zamku zmiany:
zamiast królów mieszka
Prezydent kochany.

Jesteś Polakiem.

Jesteś Polakiem, więc musisz być zuch.
Musisz się uczyć z ochotą, za dwóch.
Musisz być silny i śmiały i chwat.
Do pracy skory, do zabawy rad,
dobry kolega, przyjaciel i brat.

NA WIOSNĘ.

Idzie wiosna.

Przyleciały skowroneczki
z radosną nowiną.
Zaśpiewały, zawołały
ponad oziminą:
— Idzie wiosna! Idzie wiosna!
Śniegi w polu giną!

Przyleciały bocianiska
w bielutkich kapotach.
Klekotały, ogłaszały
na wysokich wrotach:
— Idzie wiosna! Idzie wiosna
po łąkowych błotach!

Przyfrunęły jaskółeczki,
kołem kołujące.
Figlowały, świegotały
radośnie krzyczące:
— Idzie wiosna suchą drogą.
Prowadzi ją słońce!

Rzeka ruszyła.

Przyszedł ojciec ze dworu do domu i pyta:

— Chcecie, dzieci, zobaczyć, jak zima wędruje do morza?

— Chcemy! Chcemy!

— No, to chodźcie nad rzekę.

Jeszcze dzieci nie doszły do rzeki, a już zdaleka słyszą wielki szum i huk.

— Co to się dzieje? — pytają ojca.

— Lód pęka na rzece — mówi ojciec. — Nasza rzeka ruszyła.

Nad rzeką było pięknie i strasznie. Środkiem rzeki płynęły całkiem ciemne, aż bure, mętne i spienione fale. Na falach unosiła się kra; gęste, drobne kawałki lodu i wielkie, ogromne kawały. Popychały się one wzajemnie, to wspinały się na siebie, to odtrącały się i kruszyły z trzaskiem! z hukiem! z łoskotem!

I płynęły, płynęły.

— Gdzie one płyną? — pytały dzieci.

— Do morza Bałtyckiego płyną — powiedział ojciec.

Wtedy dzieciom wydawało się, że na największej krze widzą skuloną białą postać.

— To pewnie zima — pomyślały. I uciesz one zaczęły wołać:

— Huż-ha! A do morza, zimo! A do morza!

Most pod miastem.

Stary, żelazny most aż zatrząsł się z uciechy, gdy rzeka ruszyła.

Most był mocny. Nie bał się, że go kra zniesie. A zresztą wiedział z doświadczenia dawnych wiosen, że gdy się zrobi wielki zator na rzece, to przyjdą saperzy. Saperzy lód rozbiją i mostowi nie dadzą krzywdy zrobić.

Patrzył więc most z uciechą na płynącą krę, na silne, bujne fale oswobodzonej rzeki.

Cieszył się, że już rychło skończy się zimowa nuda. Oto po ruchliwej rzece zaczną znowu pływać łodzie rybackie, kajaki, motorówki, promy, tratwy flisackie, statki pasażerskie i handlowe. W płytszych miejscach zaroi się od pływaków. Przyjdą też

kąpać się i grzać się na piasku dzieci z miasta.

To dopiero będzie wesoło i przyjemnie!

Złota rybka.

W srebrnej wodzie
złota rybka
złote skrzelki ma.

Zapuścimy
srebrne sieci
do samego dna.

Wyłowimy
złotą rybkę,
niech nam szczęście da!

Rak.

W płytkiej wodzie przy olszynie
rak pokazał się dziewczynie.
Ta dziewczyna była tchórz:
raka zlękła się i już!

— Idzie rak, nieborak,
idzie prosto, idzie wspak!
Wciąż otwiera kleszcze swoje.
Mamo, ja się raka boję!

Podszedł rak tuż ku brzegowi.
Pokazał się chłopakowi.
A ten chłopak nie był tchórz:
złapał raka, no i już!

*
*   *

Gdy na święty Józef bociek przybędzie, to już śniegu nie będzie.

Dziewiętnastego marca.



Cóżto się dzieje, że tyle dzieci z różnych stron Polski do stolicy śpieszy? Cóżto się stało, że się każde dziecko tak bardzo cieszy?

To do Belwederu żwawemi gromadkami zdążają dzieci z życzeniami.

Idą małe Ślązaki, zuchy chłopaki. Niosą dla pana Marszałka, Wodza wielkiego, twarde serce, wykute z węgla, z czarnego wę-

gla śląskiego. Idą małopolskie dziewczęta rumiane jak różyczki. Niosą przejrzystą bryłkę soli prosto z Wieliczki. Śpieszą z nad morza Pomorzacy, wszystko rybackie dzieci. Niosą, co mają najdroższego: zgrabnie wiązane sieci. Śpieszą i góralczyki, od gór wysokich, od Tatr. Prowadzą żywą koziczkę, śmiglejszą niż wiatr!

Z Wilna i Poznania, ze Lwowa, Sandomierza, z całej polskiej ziemi idą, idą dzielne dzieci z serduszkami swemi:

Przyjmij, drogi Wodzu,
to, na co nas stać,
i te nasze serca
chciej Ojczyźnie dać,
jakeś Jej dał serce Swoje,
kiedy szedłeś w krwawe boje,
gdy okryłeś Polskę całą
wielką chwałą.

Jak Kasia z Jasiem do pana Marszałka list pisali.

Kasia: Jasiu!
Jaś: Co, Kasiu, kochanie?
Kasia: Napiszmy powinszowanie.
Jaś: A dla kogo, Kasiu?

Kasia: Dla pana Marszałka, Jasiu.
Pan Marszałek kocha dzieci,
niech więc liścik od nas leci.
A w liściku słówek wiele,
że i codzień i w niedzielę
całem sercem Go kochamy
i gorąco przyrzekamy
róść na dzielnych, mądrych ludzi.
Jaś: Dobrze, moja Kasiu.
Ale —
Kasia: Ale — Jasiu?
Jaś: Jakie pióro będzie godne?
Jaki papier dosyć strojny?
Kasia: Mój braciszku, bądź spokojny.
Pasą się pawie po lesie,
wietrzyk pióro nam przyniesie.
Rosa do pisania da srebrne kropelki,
a różyczka listek użyczy niewielki.
Przy wiśniowym tym stoliku
pisz, dziewuszko, pisz, chłopczyku!
Piszmy liścik długi, duży,
na różowym listku róży.
Niech serdeczne słówka
kreśli pióro pawie.
Będzie Pan Marszałek
cieszył się w Warszawie.

— Kochany nasz Panie.
przyjm powinszowanie:
szczęścia, zdrowia
i wszystkiego najlepszego.
Niechaj cały roczek
w zdrowiu Ci przeleci —
tego życzą Tobie
wszystkie polskie dzieci.



Z dziennika klasy.

19 marca. Pan nauczyciel opowiadał nam dziś o życiu Pana Marszałka Piłsudskiego.

Marszałek urodził się w Zułowie. Miał pięciu braci i cztery siostry. Chłopcy urzą-

dzali różne zabawy, ale najlepiej lubili się bawić w wojsko.

Mały Ziuk (tak nazywano Pana Marszałka) przewodził chłopcom, urządzał na niby bitwy z wrogiem.

Dużo lat upłynęło od tego czasu. Podczas wojny Marszałek Piłsudski prowadził już prawdziwych żołnierzy-legjonistów do walki z wrogiem.

Jemu zawdzięczamy, że jest Polska.

Co widział promyk słońca.

Pilny promyczek budzi świat.

Promyczek słońca, żwawy i złoty, na ziemię z nieba zbiegł i wziął się do roboty. Złotym paluszkiem do ludzkich okienek pukał. Złotem oczkiem kryjówek zwierząt szukał i tak śpiewał:

— Już się dzionek rozpoczyna,
już do pracy wstawać czas,
dalej, dalej, wszystkie śpiochy,
ja, promyczek, budzę was!
Już słoneczko lśni na niebie,
już się budzi pole, las.
Hejże, śpiochy, dosyć spania,
ja, promyczek, budzę was!

Kto jest dzielny, zuch nad zuchy,
ten się zrywa raz — dwa — trzy!
I do pracy staje raźno
tak jak ja, jak wszyscy my.

Ma się rozumieć wszystko się zaraz pobudziło i woła, aż miło:

— Cir, cir, cir! Miau, miau! Hau, hau! Muuu! Beee! Meee! Ihaha, ihaha! Kwa, kwa, kwa, kwa! Gul, gul, gul! Ko, ko, ko! Gę, gę, gę!

Ucieszył się promyczek:

— Obudziłem całe podwórko. Teraz pobiegnę na pólko. Zobaczę, czy już orzą oracze. Ho, ho, pracują pilnie. Bardzo się cieszę. Czem prędzej teraz do miasta pośpieszę.

Promyczek w mieście.

— Hop! Nareszcie jestem w mieście. Tu ranek trochę później się zaczyna. Baczność, fabryki. Ruszajcie! Siódma godzina!

Zagwizdały fabryki i z każdej kamienicy wychodzą tłumnie robotnicy.

Raz, dwa, raz, dwa! Idą robotnicy.

Raz, dwa, raz, dwa! Kto ich wszystkich zliczy?

Raz, dwa, raz, dwa! Sami to junacy.
Raz, dwa, raz, dwa! Wielka armja pracy.

Gdy już fabryki ruszyły, promyczkowi obowiązek miły każe zajrzeć do szkoły, czy już się zaczął nauki dzień wesoły.

— Ślicznie! Dzwonek! Ósma godzina. Dzieci wszystkie na swoich miejscach w klasie. Nauka się rozpoczyna.

— A b c — ja się uczyć chcę,
d e f g h i — ucz się z nami ty,
j k l ł m n — uczy się i ten i ten.
o p r s t u — uczymy się w szkole tu,
w y z ź ż — jak mądrymi zostać wnet.

Tak wołały chórem wesołe i swawolne dzieci szkolne. A promyczek, wielce rad, złotemi oczkami popatrzył na świat i tak pomyślał:

— Uf! Nabiegałem się po świecie, aż miło. Widziałem dużo różnych rzeczy. Bardzo ciekawe to było. Teraz wiem, co zrobię: odpocznę sobie.

Promyczek bawi chorą Zosię.

Pocichutku, pomalutku, przysiadł promyk słoneczny bez lęku pod dachem na okienku.

— Hyc i już tu wysoko jestem. Oj, coś się za okienkiem porusza z szelestem. Za okienkiem, w pokoiku ktoś na łóżeczku leży i w ciszy słabiutki oddech czyjś dyszy. Czyjś głosik woła mnie po imieniu:

— Promyczku! Słoneczny promieniu! Bądź tak grzeczny i zbliż się do mojego łóżka!

To wołała promyczek mała, blada dziewuszka.

Przybiegł do niej promyczek i pyta:

— Kto ty jesteś, leniuszku? Czemu o tej porze jeszcze leżysz w łóżku?

— Ja nie leniuszek, ja jestem Zosia. Boli mnie chora nóżka i dlatego nie mogę wstać z łóżka.

— Jeśli jesteś chora, to dlatego leżysz tutaj bez opieki sama? Czy nie masz mamy?

— Mam. Moja mama poszła właśnie po pana doktora z Kasy Chorych. Że jestem chora, pan doktór weźmie mnie do szpitalika. W szpitaliku wyleczą mi nóżkę i znowu będę fikać. Ale tymczasem, nim z doktorem przyjdzie mama, ja się trochę nudzę sama. Pobądź ze mną, mój promyku, moje złoto.

Promyczek na to:

— Z ochotą! Daj uszko, dziewuszko. Opowiem ci wszystko, co dziś widziałem na świecie. Ty z bolącą nóżką nigdzie nie chodzisz przecież, to nie wiesz, co się przez cały dzień dzieje.

Promyczek opowiada, a Zosia się śmieje. Słuchaniem zajęta o bólu nóżki nie pamięta, nie nudzi się ni trocha ta Zocha.

Nagle patrzy promyczek, a tu słonko za dach kamienicy znika — znak, że się noc do miasta przybliża. A wiadomo, z wieczora słonecznym promykom odpoczywać pora.

Promyczek idzie spać.

Słoneczny promyczek pożegnał Zosieczkę. Jak na samolocik, wskoczył na chmureczkę.

— Dobranoc, roślinki, zwierzątka i ludzie. Wyśpijcie się dobrze po tym dziennym trudzie. Już nie zobaczycie złotego promyka. I ja także usnę, już oczka zamykam, spać idę, tak jak wy ...aaa... Dobranoc! Paa... — I myk! Promyk słoneczny na całą noc z ziemi znikł.

Z dziennika klasy.

30 marca. Trzy dni już pracujemy w ogródku szkolnym. Dziś sialiśmy: maciejkę, nasturcję, rezedę i inne kwiaty. Wszyscyśmy postanowili założyć ogródki kwiatowe, porobić skrzynki na kwiaty w oknach i na balkonach. Ładnie będzie wyglądało, jak zakwitnie tyle kwiatów.

7 kwietnia. Widziałem dziś motyla. Na brzozach i bzach rozwinęły się już listki. Na akacjach wcale jeszcze listków nie widać.

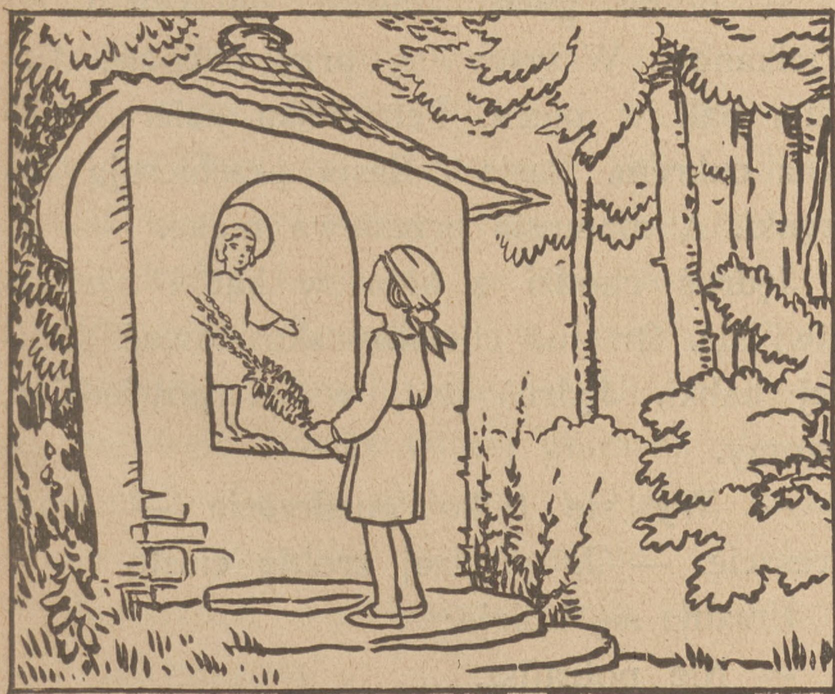
10 kwietnia. Jutro z Panią wybieramy się na sprawdzenie, czy wszyscy wykonali postanowienie i przygotowali skrzynki na kwiaty.

20 kwietnia. Jest dużo kurzu w mieście. Już polewa się ulice wodą.

W Palmową Niedzielę.

— Dzieńdobry, Boziu.
To ja, mała Hania.
A ze mną Żuczek.
On też Ci się kłania, jak umie.
On taki mądry, że wszystko rozumie.
Ale nie wychylaj, Boziuniu, z pod daszka

ni rączek Swych, ni głowy,
bo pada deszcz kwietniowy.
Nakapałby Ci na rączkę
i na Twą złotą nad główką obrączkę.
Poczekaj, Jezusku maluśki.
Jestem już spora dziewuszka.
Gdy stanę na paluszki,



dosięgnę Twego uszka.
A chcę Ci, Boziu, powiedzieć,
bo pewnie nie wiesz o tem,
że już zakwitły wierzby.
Te, co za płotem

stoją na naszej łące.
Patrz, co mam koćków w rączce.
Chcesz, to i Tobie
małą palemkę zrobię.

Jak Jędruś robił babkę na Wielkanoc.

W domu gwałt. Piecze się ciasto na Wielkanoc. Wszyscy są przy robocie. Urszula pali w piecu. Petronelka uciera żółtka z cukrem. Basia i Kasia przebierają rodzynki. A mamusia przesiewa mąkę.

Jędruś chodzi z kąta w kąt i niecierpliwi się. On już chciałby skosztować słodkiej babki. Jędruś jest, wstyd powiedzieć, łakomy.

— Wy się tylko guzdrzecie — woła wreszcie. — Ja prędzej zrobię ciasto.

Urszula się śmieje:

— Nie potrafisz.

Petronelka się śmieje:

— Zobaczymy.

Kasia i Basia mruczą:

— A rodzynków porządnie przebierać nie chciałeś, tylko do buzi kładłeś.

Mama powiada:

— Dobrze, jeśli chcesz, Jędrusiu, pomóc nam w robocie, to przynieś ze spiżarki foremki na baby.

Ale Jędruś nie myślał pomagać.

— Sam zrobię babkę, to i sam ją zjem — postanowił. Usiadł w kąciku, gdzie go nikt nie widział. Postawił przed sobą wielką miskę i nawrzucał do niej wszystkiego, co mu w ręce wpadło. Jaja, cukier, mąka, masło, mleko — wszystko razem już leży w Jędrusiowej misce. Teraz Jędruś łap! za wielką łyżkę i dalej mieszać, aż się kurzy i bryzga na całą kuchnię!

Zobaczyła Urszula i w krzyk. Zbiegli się wszyscy. Trochę się śmieli, a trochę się gniewali. Nawet więcej gniewali się, niż się śmieli, bo ta mąka, i te jajka, i ten cukier — wszystko to już nanic.

Zawstydził się łakomczuszek. Niedobrze być „chwalipytą“.

Wspólne święcone.

Zeszły się koleżaneczki:
będą pisać pisaneczki,
czarne, żółte i czerwone
na święcone.

Śpieszą się koleżaneczki:
będą placki piec, babeczki,
te zwyczajne i parzone
na święcone.

Cieszą się koleżaneczki.
Stroją stół w zieleń, w kwiateczki.
Już gotowe, ustawione
jest święcone.

Zaraz do tych dziewczyneczek
przyjdzie tłum przyjaciółeczek,
gdyż są wszystkie zaproszone
na święcone.

Wielka Niedziela.

Już mamy dzisiaj prawdziwą wiosnę.
Dzwony w kościołach dzwonią radosne.
Ptaszki śpiewają. Słoneczko świeci.
Wielka Niedziela! — Cieszcie się, dzieci!

*
* *

12, 13, 14, maja. Pankracy, Serwacy, Bonifacy, źli na ogrody chłopacy.

Z dziennika klasy.

2 maja. Jutro jest wielkie święto. Na to święto nauczyliśmy się takiego wiersza:

Biały Orzeł.

Ten prześliczny, dumny ptak,
Biały Orzeł — to nasz znak.
Aby znak ten godnie czcić,
trzeba dzielnym, dobrym być!



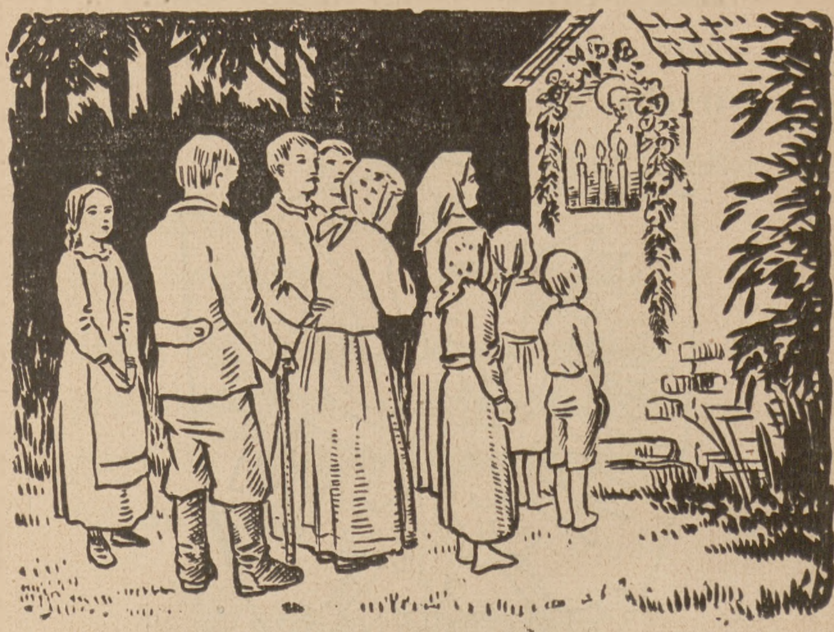
Majowe nabożeństwo.

Ustroimy kapliczkę w zieleń i w kwiaty, bo to majowa pora.

Przyjdziemy pod tę kapliczkę zaraz z wieczora. Każde z nas przed kapliczką kornie uklęknie i Matce Boskiej chórem zaśpiewamy pięknie.

Po cichej rosie majowej pieśń aż do nieba doleci.

I usłyszy Matka Boska w niebie i uśmiechnie się do nas, do dzieci.



Zabawa.

Dawno nie miały dzieci takiej uciechy. Dziś na miejskim placu jest wielka zabawa.

Czego tam niema!

Jest karuzela. I strzelnica jest. Dwie orkiestry grają. Jedna strażacka, a druga wojskowa. Kto chce, może tańczyć.

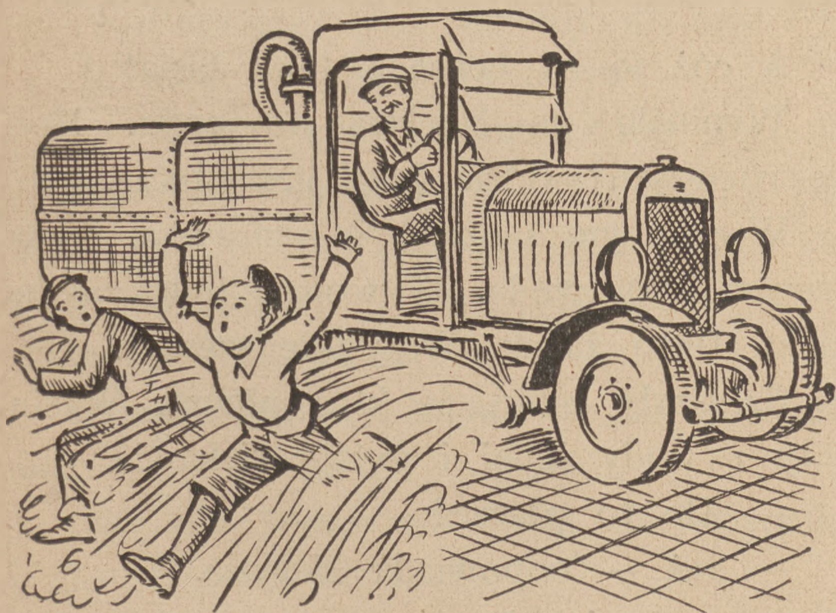
Hania kupiła czerwony balon od balonikarza. Mietek przywiązał do tego balonu papierowego pajaca. Wtem dmuchnął wiatr i poniósł balon z pajacem!

Hania chciała płakać, ale roześmiała się, tak zabawnie fikał ten pajac.

Gdzie też on doleci?

Niespodziewany prysznic.

— Uf! Gorąco! Upał taki! —
narzekają dwa chłopaki.
Aż tu, aby spłókać kurz,
jedzie z szumem miejski wóz.



To ci prysznic jakich mało!
Oj, tej wody się dostało
całej jezdni.
A czy wiesz?
Chłopcom też!

Jak żabki Jasia zabawiły.

Au... au... au... uuu...

Czy to się odzywa mały wilczek z boru? Nie, to Jaś tak płacze.

Zawołała mama Marysię. Kazała mama Marysi zabawić Jasia. Bawi Marysia Jasia, zabawić go nie może. Klaszcze Marysia w ręce — Jaś płacze. Śpiewa Marysia o komarze, co z dębu spadł — Jaś płacze.

A cóż to za beksa z tego Jasia!

Wyniosła go Marysia do sadu. Może się rozweseli? Gdzie tam! Jaś płacze.

W zielonym sadzie była sadzawka. W sadzawce była woda. W wodzie były zielone żabki. Dużo żabek. Wszystkie wesołe.

Usłyszały żabki, że ktoś płacze. Wystawiły z wody łebki i pytają ciekawie.

— Kto to płacze?

— Jaś — odpowiada Marysia.

A na to żabki:

— Jaś? Bawmy go zaś!

I zaczęły żabki chórem:

— Kumo, kumie, jak kto umie, niech rechocze: Rech, rech, rech! Bocian zdechł, a my temu rade! rade! rade!

Kumo, kumie, jak kto umie, głośniej wrzeszcz:

Będzie deszcz! Żab gromada bardzo rada, gdy deszcz pada.

Wszystkieśmy temu rade, rade, rade.

Przerwały żabki rechotanie i pytają Marysię:

— A co? Zabawił się Jaś?

— Jeszcze nie, jeszcze popłakuje.

— Popłakuje Jaś! Bawmy go zaś!

I żabki zaczynają na nowo:

— Kuma, kum! Kuma, kum! Jest nas tutaj cały tłum, kuma z kumą, kum i kum. Kum, kum, kum. A co Jaś? Płacze zaś? Toć od płaczu lepszy śmiech, więc się śmiejmy rech, rech, rech!

I żabki zaczęły śmiać się na całe gardło.

Jaś nie wytrzymał i też się roześmiał:

— Eh, eh, eh!

Wtedy żabki zaczęły cieszyć się jedna przez drugą:

— A my temu rade, rade, rade!

Cieszyły się tak głośno, aż na stodole było słychać.

A na stodole stał na jednej nodze bociek Kleklek. Bociek Kleklek ma mocny sen. Prędko się nie obudzi. Niech się więc żabki cieszą, że Jasia zabawiły.

O gęsiarce Agatce i o cudownej gąsce.

Za siedmioma ścieżkami, za siedmioma łączkami stała chatka na gęsiej nóżce. W tej chatce mieszkała babka Gęsiołapka. Babka Gęsiołapka miała trzy gąski. Jedną gąskę siodłatą, drugą gąskę gęgatą i trzecią gąskę białą, która ludzkim głosem przemawiała.

Do pasania tych gąsek zgodziła babka Gęsiołapka gęsiarkę Agatkę. Wstawała ona skoro świt i budziła gąski:

— Pilu, pilu, pilusie, wstawajcie, gąski bielusie!

Potem zaganiała Agatka te gąski na zieloną trawę:

— Pilu, pilu, pilusie, jedzcie, gąski bielusie!

Przez cały dzień gęsiareczka Agatka pilnowała gąsek, pasących się na błoniu. Wieczorem znów gnała je do domu:

— Pilu, pilu, pilusie, a spać, gąski bielusie!

Tak to dzień w dzień Agatka pasała gąski, a słonko jej pomagało. Ale jednego dnia zapukał do chatki deszcz. Ten nie myślał wcale pomagać małej Agatce. Bębnił o szyby chateczki na gęsiej nóżce i mruczał:

— Zamoczę was, zaleję was! Oj, to, to, będzie błoto! Będzie ziąb!

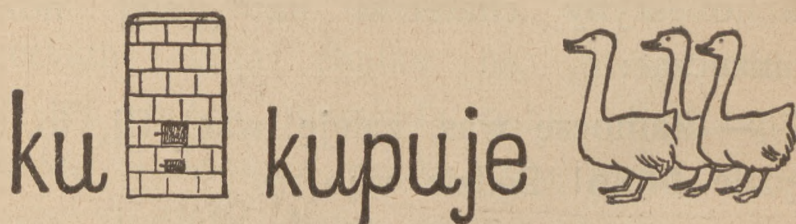
I rzeczywiście było błoto i był ziąb. Zmokły gąski na pastwisku, a jeszcze bardziej zmokła gęsiarka Agatka. Nożyny jej zsiniały, buzia pobladła. Na płacz się zbiera Agatce. Wtem biała gąska otwiera mokry czerwony dziób i tak powiada ludzkim głosem:

— Nie martw się, Agatko. Deszcz sobie pójdzie i znowu wyjrzy dobre słoneczko. A my, gąski, gdy tylko obeschniemy, damy ci w nagrodę białych piórek i puchu na poduszeczkę.

Tak ludzkim głosem powiedziała do gęsiarki Agatki cudowna gąska babki Gęsiołapki.

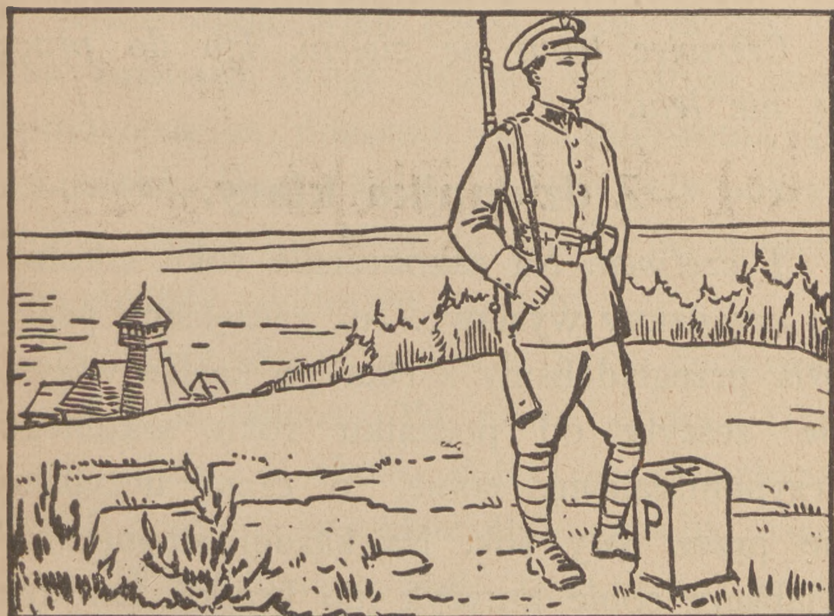
Ma się rozumieć, Agatka najpierw się zdziwiła, a potem ucieszyła się bardzo. Okryła głowę przed deszczem zapaską i dalejże śpiewać!

Rebus.



KOŃCZY SIĘ ROK SZKOLNY.

Granica.



Poszły dzieci na wycieczkę do lasu. Pod lasem zauważyły wielki rów. Wzdłuż rowu usypane były kopce. A na każdym kopcu był kamień. Żadne z dzieci nie wiedziało, co taki rów z kopcami znaczy.

Pan nauczyciel wytłumaczył dzieciom, że to jest granica. W tem miejscu kończą się pola jednej gminy, a zaczynają pola drugiej gminy.

I mówił pan nauczyciel, że daleko, daleko od nas kończą się pola Polski. I że tam jest również granica. Są tam porozstawiani żołnierze. Pilnują granic Polski.

*
*   *

Czerwiec temu się zieleni, kto do pracy się nie leni.

Z dziennika klasy.

1 czerwca. Na zakończenie roku szkolnego urządzimy wystawę. Już zaczęliśmy pracę. Dziś przeglądaliśmy kartka po kartce wszystkie zeszyty od początku roku szkolnego. Przypominaliśmy sobie, o czem uczyliśmy się przez cały rok. Na każdej stronie stawialiśmy sobie krzyżyk lub kreskę. Krzyżyk, o ile ładnie była wykonana praca i pamiętamy wszystko. Kreskę — o ile praca była zrobiona źle lub mało pamiętamy.

5 czerwca. Podzieliliśmy się na grupy. Jedna grupa zbiera i układa rysunki z jesieni, inna — rysunki z zimy, a inna

— z wiosny. Czytamy też nowe powiastki o tem, jak wygląda wieś, a jak miasto.

Wszyscy są bardzo zajęci przygotowywaniem tej wystawy.

Z naszej gazetki.

W gazetce były tylko dwa wycinki. Jeden przedstawiał wieś, drugi miasto.

Wieś miała tylko jedną ulicę, drogę. Po obu stronach drogi ciągnął się długi sznur domów. A za domami — zabudowania gospodarskie. Dachy kilku domów były pokryte słomą. Stare już były te domy, bo strzechy ich porosły zielonym mchem.

Niektóre domy pokryte były dachówką, a niektóre blachą. To nowe domy. Okna miały duże. I obory dalej od mieszkania. Przed domami wszędzie były ogródki kwiatowe. A za domami sady. Cała droga wysadzona była drzewami owocowemi.

Miasto miało dużo ulic. I domy inne. Prawie wszystkie murowane. Niektóre nawet kilkupiętrowe. Ulice były brukowane. Na rogu każdej ulicy stały wysokie słupy z latarniami. Na każdej ulicy były sklepy. Poznać

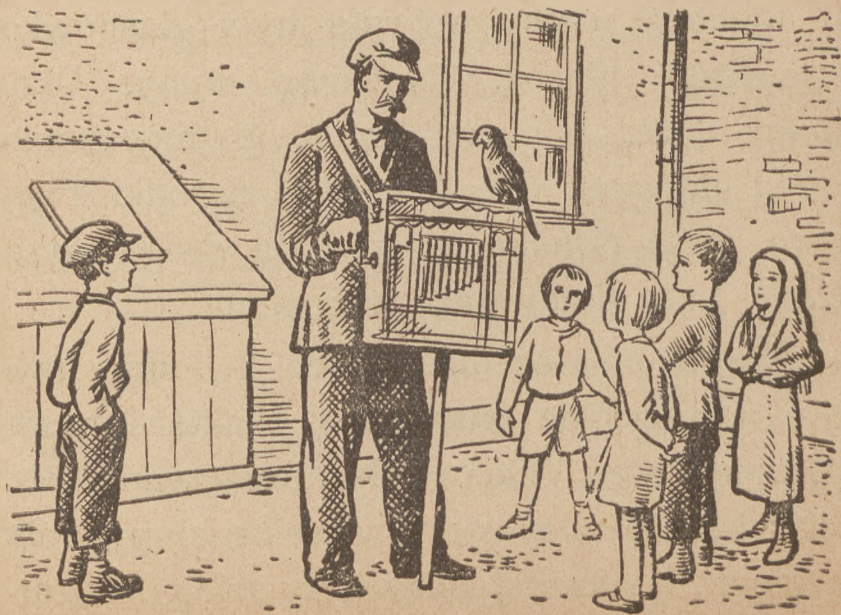
je można po wystawach. Na jednej wystawie były książki. To księgarnia. Obok był sklep z zabawkami.

Podwórko.

Na środku podwórka stoi drewniany trzepak do rannego trzepania dywanów i pościeli. Przy nim śmietnik, pełen odpadków i śmiecia, wapnem po wierzchu się bieli.

Po śmietniku za usmolonemi wróblami uganiają miejskie koty niemrawe.

Niema na tem podwórku miejsca dla dzieci na żadną porządną zabawę. Ale czasem przychodzi kataryniarz z katarynką i z papugą zieloną albo z morską świn-



ką. Wtedy w otwartych oknach oficyny dzieciaki skaczą wokoło. Wtedy to brzydkie podwórko jest najpiękniejsze ze wszystkich, tak bardzo na niem wesoło!

W suterenie.

Suterena ma okienko małe,
codzień myte, codzień wycierane.
Na okienku gliniany wazonik.
W wazoniku laki nakrapiane.
Codzień laki przez czyściutkie szyby
widzą wszystkie buty przechodzące,
lecz nie widzą ni razu do roku,
jak po niebie spaceruje słońce.

Ranek w mieście.

Od samego rana gwar na ulicy i hałas. To przez ulicę jadą wozy od rogatek na targowisko.

— Tur, tur, tur! — słychać dokoła. — Tur, tur, tur, tur!

Po ulicy i po podwórkach chodzi handlarz. Handlarz woła głośno:

— Handel! Handel! Handel! Kupuję starzyznę, gazety, butelki! Handel! Handel! Handel!

Potem przychodzi zieleniarka z koszami albo z ręcznym wózkiem. Zieleniarka wykrzykuje:

— Do kapusty! Do ziemniaków! Do cebuli! Do jabłek! Do jabłek! Do jabłek!

Ale głośniej niż zieleniarka krzyczy mały gazeciarz:

— Gazeta Poranna! Nowiny Dzisiejsze! Kurjer Poranny, świeży! Kurrrjer!

A dokoła turkoczą dorożki, trąbią samochody, dzwonią tramwaje, pędzą motocykle i rowery.

Coraz więcej przechodniów krąży po mieście. Matki robią zakupy na targu i po sklepach. Ojcowie śpieszą do zajęcia. Dzieci zdążają do szkoły.

Zaczął się w mieście wesoły, gwarny i pracowity dzień roboczy.

Czem kto będzie?

Jurek: A ja jak urosnę,
to sztuki dokażę:
zostanę szoferem
albo tramwajarzem!

Po ulicach miasta
będę woził ludzi,
żeby na piechotę
już nikt się nie trudził.

Zygmuś: Ze mnie, gdy dorosnę,
będzie maszynista.
Będę miał parowóz
i wagonów trzysta.

Mój pociąg po szynach
z wielkim hukiem pędzi,
wiezie węgiel, drzewo,
prędko, jak najprędzej!

Krysia: Ja, gdy będę duża,
piekarką zostanę:
będę piekła bułki
i chleby rumiane.

Pieczywo — rzecz ważna,
bo dobrego chleba
czy na wsi, czy w mieście,
każdemu potrzeba!

Janek: Ja będę murarzem,
co domy muruje.
Gdy mnie kto poprosi,
dom mu wybuduję.

Ściany będą białe.
Okna będą jasne.
Izb tyle, by każdy
miał mieszkanie własne.

Tadzik: Ja będę lekarzem,
który wszystkich leczy.
Będę opukiwał
dorosłych i dzieci.

Dam im wypić ziółek
i kompres położę.
Chory zacznie skakać,
tak mu to pomoże!

Staszek: Dzisiaj jeszcze
jestem ja malutki.
Gdy urosnę,
będę robił butki.

Będę siedział przy warsztacie
i pomagał swemu tacie.
Bo mój tata szewc nad szewce!
I ja także będę szewcem!

Dokąd kto jedzie.

Gwarno było dziś w szkole. Na przerwach dzieci rozmawiały tylko o tem,

dokąd kto pojedzie, gdy zaczną się wakacje.

— Ja pojadę do babci na wieś — powiedziała Felka. — Moja babcia ma gospodarstwo na wsi w Zielonej Wólce. Są tam krowy i konie są. Są gołębie i króliki. Jak który królik spodoba mi się, to babcia podaruje mi go na zawsze. A jakże!

— Ja też pojadę na wieś, — powiedział Jurek — ale na inną. Ja pojadę w góry, na kolonje. Ho! ho! Będziemy tam mieszkali, jak prawdziwe zuchy, w namiotach w lesie. I będziemy się gimnastykować codzień raniuteńko! A ty, Stasiu, dokąd jedziesz?

— Nigdzie, ja zostanę w mieście.

— To się bardzo martwisz, Stasiu?

— Nie, niebardzo. I w mieście będzie przyjemnie. W ogrodzie miejskim będą zabawy dla dzieci. Nad rzeką będą kąpiele słoneczne. I...

Chciał Staś coś jeszcze dopowiedzieć, ale zadzwonił dzwonek i wszyscy pobiegli do klasy na ostatnią lekcję w tym roku szkolnym.

Kończy się rok szkolny.

Kończy się rok szkolny
pilny, pracowity.
Odkładają dzieci
książki i zeszyty:

— Leżcie sobie w teczkach,
leżcie cicho, sza!
Przeleżycie miesiąc,
przeleżycie dwa.

Zaczęły się oto
wakacje wesołe.
Teraz las i pole
zastąpią nam szkołę.

Będziemy się uczyć
od kwiatów i traw,
od ptaków i rybek
ich ciekawych spraw.

Dużo do poznania
jest rzeczy na świecie.
Uczyć się będziemy
i bez szkoły przecież.

Niech żyją wakacje,
miły, wolny czas,
kiedy książką — pole
i łąka i las!

Ostatni dzień w szkole.

Zajrzało słoneczko do okienek szkoły:
— Czy to dziś dzień smutny? Czy to dzień wesoły?
— Smutny, bo się dzieci żegnają ze szkołą.
Wesoły, bo witać wakacje wesoło!

Dożynki w Spale.

W żniwa każdy się napracuje. I żniwiarki z sierpami. I żniwiarze z kosami. I dziewczęta, co snopy wiążą. I parobcy, co snopy zwożą. I dzieci, co zbierają kłosy na ściernisku.

A potem, gdy się żniwa skończą, jaka radość dla wszystkich: Dożynki! Toż to wesoło w całej wiosce! Kto pracował przy żniwie, cieszy się na wesołe dożynki.

Dziewczęta wiją wieniec dożynkowy. Śliczny to wieniec, ogromny, z kłosów wszystkich zbóż upleciony, jabłuszkami, orzechami, wstążkami przybrany pięknie. Przodownica go niesie, a żeńcy chórem śpiewają:

— Zeżnęliśmy żytko,
zeżnęliśmy wszystko.
Gdy wietrzyk powieje,
już się kłos nie chwieje.

Otwieraj, otwieraj,
gospodarzu, wrota.
Niesiemy ci wianek
ze szczerego złota.

Plon niesiemy, plon,
w jegomości dom!
Żeby żytko plonowało,
po sto korcy z kłosa dało.
Plon niesiemy, plon!

Więc gospodarz ucieszony wrota otwiera. Pracownikom swoim dziękuje. Ugaszcza. Grajkowie grają wesoło, aż same nogi skaczą. Kto żyw, idzie w tany.

Jak pracować, to pracować z całej mocy. Jak się bawić, to się bawić z całej duszy!

Niech przygrywa do taneczka
skrzypica i bas!
Jak się cieszyć, to się cieszyć
w dożynkowy czas!

W każdej wiosce dożynki są wesołe. Ale najweselsze dożynki są w Spale u gospodarza całej naszej Polski, u Pana Prezydenta.

Na te dożynki do Spały z całej polskiej ziemi śpieszą ludzie. Ze wszystkich wiosek zdążają tam gromadnie żeńcy z dożynkowemi wieńcami, z pieśniami, z muzyką.

Najpierwszy Gospodarz Polski całem sercem wita miłych gości, pracowników dzielnych i wesołych.

A żeńcy z całej ziemi polskiej kłaniają mu się pięknie i śpiewają z serca:

Dla tej naszej polskiej ziemi
w pocie czoła pracujemy.
Plon zbieramy i niemały,
dla Ojczyzny, dla Jej chwały,
plon niesiemy, plon.
Wyciągnijże, Panie, ręce,
przyjmij wszystkie nasze wieńce.
Plon niesiemy, plon,
w każdy polski dom!

SPIS RZECZY.

W domu i w szkole.

W jesieni.

W zimie.

Na wiosnę.

Kończy się rok szkolny.